

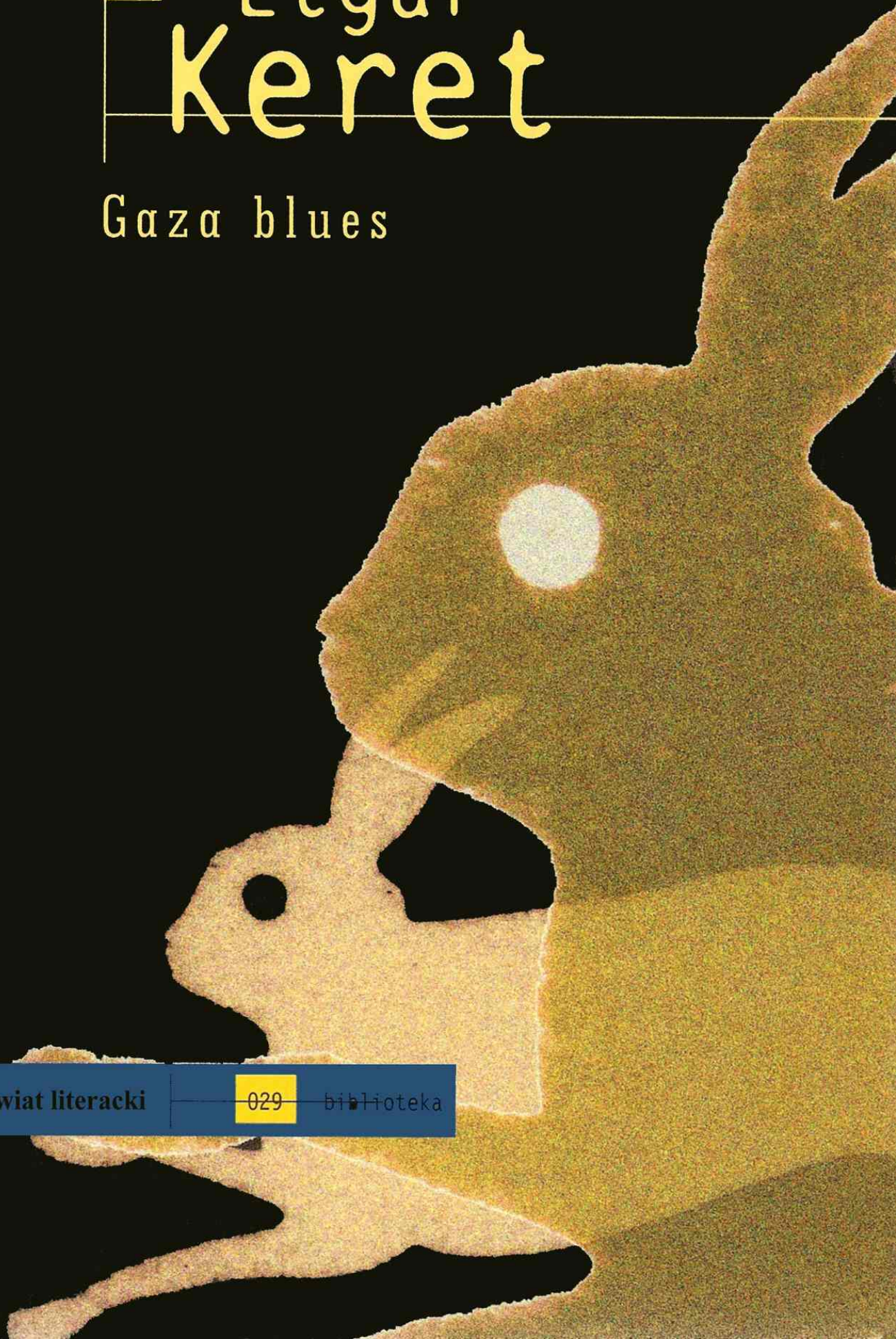
Etgar Keret

Gaza blues

świat literacki

029

biblioteka



Etgar Keret

Gaza blues

przekład z hebrajskiego:
Agnieszka Maciejowska



IZABELIN

świat literacki

DZIEWIĘCDZIESIĄTY

W telewizji powiedzieli, że sąd wojskowy orzekł wyrok śmierci na Araba, który zabił żołnierkę, i przyprowadzili różnych ludzi, żeby o tym rozmawiali, i dlatego wiadomości skończyły się o dziesiątej trzydzieści, i nie dali „Detektywów nocą”. Tata bardzo się tym zdenerwował i zapalił w domu swoją śmierdzącą fajkę, mimo że mu nie wolno, bo ja od tego przestaję rosnać. Krzyczał na mamę, że przez nią i przez takich wariatów jak ona, co głosowali na „Odrodzenie”, nasz kraj będzie wyglądał jak Iran, który jest krajem, skąd przybyli wszyscy Persowie. Tata powiedział, że drogo za to zapłacimy, zwłaszcza naszą wrażliwością moralną – co nie jestem pewien, czy rozumiem, co to jest, więc również Amerykanie nie pominą tego milczeniem.

Następnego dnia w szkole zrobili nam rozmowę na ten temat i Cyjon Szemesz powiedział, że jak się wiesz człowieka, to staje mu kutas jak w „różowych” filmach, więc nauczycielka, Cyla, wyrzuciła go z klasy i wytłumaczyła nam, że w sprawie kary śmierci opinie są podzielone i że to sprawa, która jest w sercu. I Cachi Cymbał, który już dwa razy siedział w tej samej klasie, zaśmiał się i powiedział, że to sprawa w sercach Arabów, które przestaną bić, a dlaczego? – bo powieszą ich za gardło, więc Pani jego też wyrzuciła. Pani powiedziała, że nie zamierza wysłuchiwać więcej bzdur i że będzie kontynuowała normalne lekcje, i zemściła się na nas, i mnóstwo zadała.

Po szkole starsi chłopcy dyskutowali, czy jeśli się kogoś wiesz, to on umiera, bo jest uduszony, czy dlatego, że ma złamany kark. A potem założyli się o torebkę napoju czekoladowego, złapali kota i powiesili go na słupku od koszykówki, i kot strasznie wrzeszczał, a na koniec naprawdę złamał mu się kark. Ale Miki, skapiradło, nie chciał kupić czekolady, bo powiedział, że to dlatego, że Gabi specjalnie mocno szarpnął kotem, i że on chce zobaczyć to jeszcze raz na nowym kocie, tylko żeby go już więcej nie ruszać. Ale wszyscy wiedzieli, że to dlatego, że jest skąpy, i zabrali mu pieniądze siłą. A potem Nissim i Ziv chcieli pobić Cyjona Szemesza za to, że jest kłamcą, bo kotu wcale kutas nie stanął. A Michał, która jest chyba najładniejszą dziewczynką w naszej szkole, przechodziła tamtędy przypadkiem i powiedziała, że jesteśmy wstrętni i w ogóle jak zwierzęta, i ja sobie poszedłem i wyrzygałem się z boku, ale wcale nie przez nią.

JAK NIETOPERZE

Czasem myślę o nim i bardzo wtedy tęsknię. Zwłaszcza po nocach. Nie zasypiam zbyt dobrze. W lecie mi za ciepło, w zimie mi zimno. Nigdy nie jest akurat tak, jak trzeba. Są zwierzęta, co też nie śpią. Ale one w nocy wychodzą na polowanie, a ja w nocy nawet na siku nie wstaję. W nocy nie wstaję nawet do lodówki. Kiedyś mu opowiedziałam, że boję się karaluchów. Później przez całe lato, za każdym razem po tym, kiedy się kochaliśmy, brał mnie na plecy i wysadzał w łazience albo ubikacji; obejmowałam go mocno za plecy i docierałam wszędzie, gdzie chciałam, jak taksówką. Mama mówi, że to dlatego mnie zostawił. Dlatego że jestem taka apatyczna, przechodzę przez życie jakby mi na niczym nie zależało, że wszystkie jego uśmiechy, wszystko, co dla mnie zrobił – a ja ani razu nie powiedziałam, że go Kocham, i że to kara za to, że nie potrafię zachować się jak człowiek. Mama mówi, że od małego nie powiedziałam ani razu „dziękuję”. Prezenty, które mi przynoszono, zawsze porywałam i uciekałam. Raz nawet ugryzłam naszą sąsiadkę, Marcysię, w rękę, bo nie chciała mi dać torebki ze spódnicą, którą dla mnie uszyła, dopóki nie powiem „dziękuję”. A Zocha mówi, że matka plecie same głupoty i zawraca nam głowę z nudów, odkąd nie pracuje w ratuszu, tylko kręci się cały dzień po domu. Ale mama ma rację. Naprawdę nigdy mu nie powiedziałam, że go Kocham, chociaż było nam tak dobrze razem, i może dopiero teraz, kiedy go już nie ma, mówię to, ale teraz to już naprawdę bez znaczenia, bo nie ma komu. Najwidoczniej nie można wszystkiego naraz. Tak to już jest. Jak nietoperze. Jeśli umiesz latać – rodzisz się ślepy, a jeśli już widzisz – to jesteś zwykłym szczurem w zasyfionej piwnicy. To właśnie dlatego tak mi zależało na mieszkaniu na wysokim piętrze. Bo ich to naprawdę się boję, sto razy bardziej niż karaluchów. Również tego, że mnie ugryzą, ale przede wszystkim ich pisków w ciemnościach. W wojsku, gdzie go poznałam, zostawałyśmy czasem na nocnych dyżurach. Leżałam na polowym łóżku i słyszałam mysie kwilenie. Widziałam poruszające się cienie na ścianach i suficie. Cały czas miałam wrażenie, że to właśnie myszy biegają po suficie i dlatego tak kwilą ze strachu, i że zaraz ktoś zauważy, że to nielogiczne i nie tak, jak powinno być, i przywróci światu właściwy porządek, a myszy pospadają na mnie z góry, prosto do łóżka. I cieszyłam się, że przyszedł i wszedł do mojego łóżka. Naprawdę się cieszyłam. Było mi przyjemnie, kiedy mnie przytulił i czułam na ramieniu ciepłe powietrze, które wydychał ustami, i kwilenie ustało, a ja też nic nie

powiedziałam. Teraz z pewnością powinnam pomyśleć o tym, co mi się śni w nocy, ale jak już mówiłam – niezupełnie śnię, bo też nie za bardzo śpię. A Zocha znowu mówi, że powinnam się wziąć w garść, i jeśli nie przyjdę na cmentarz w rocznicę, to jego rodzice strasznie się obrażą, ale mnie jego rodzice tak znowu nie obchodzą, cały rok minął i nawet nie poczułam, a mama mówi, że to kara z niebios za to, że nie mam dla niczego szacunku, i Zocha wrzeszczy na nią, żeby się zamknęła. Te groby tutaj są strasznie małe, jakby pochowane w nich były koty albo karły, a wszystkie kwiaty dookoła, piasek i marmur sprawiają wrażenie, że to w ogóle nie groby, tylko donice. Jego grób jest najmniejszy na całym cmentarzu, może najmniejszy na całym świecie. A najładniejszy ze wszystkich gości jest jakiś jego przyjaciel, kapitan, którego wcześniej nie znałam, i który przyszedł w mundurze wojsk lotniczych, chociaż Jakub zmarł jakieś dwa lata po zwolnieniu się z wojska, i po zakończeniu uroczystości ten przyjaciel odwozi mnie samochodem do domu i też wchodzi na kawę. Już prawie ciemno i bawię się odznaką jednostki na jego ramieniu. Na niebieskim tle rysunek nietoperza. A on dotyka mojego karku dość delikatnie i mówi: „cały czas myślę o nim”. A ja cały czas myślę, czy zrobi mi dobrze i będę mogła milczeć, czy nic nie poczuję i powiem, że kocham. I cały czas myślę o nietoperzach.

BEZ POLITYKI

W kącie tarasu, pod poplamionym zdjęciem Demisa Roussosa, siedział jakiś nie znany nikomu łysy facet o podejrzanym wyglądzie, jadł oliwki i pestkami próbował trafiać do kubłów na śmieci stojących na podwórzu.

– W mojej kawiarni wolno rozmawiać o wszystkim, oprócz polityki – upomniał Rumun stolik przy drzwiach. – Plotkujcie, mówcie o sporcie, nawet o seksie, tylko nie o polityce. To psuje wszystkim apetyt.

Opowiadają, że kiedyś, zaraz po otwarciu kawiarni, gdy w kraju byli jeszcze Anglicy, jakiś rewizjonista nazwał Ben-Guriona kurduplem i taka się zrobiła zadyma, że ani jeden stół nie został cały.

– Jeśli o mnie chodzi, to seks też psuje mi apetyt, a poza tym nikt tu nie przychodzi dla jedzenia – zrzędził po cichu Davidov, ale inni uszanowali wolę Rumuna i zaczęli rozmawiać o komarach, które dokuczały wszystkim oprócz żony pana Micenmachera, bo do niej nawet one bały się zbliżyć. Łysy w kącie kaszlnął głośno – tak dramatycznie, a kiedy wszyscy spojrzeli na niego, zaczął mówić.

– Wszystkie partie to tchórze i oszuści, możecie mi wierzyć – powiedział głośno. – Popatrzcie na przykład na religijnych, całe państwo robią w dupę, a potem jeszcze śmieją się w nos.

W kawiarni zapadła cisza, a zza ekspresu dobiegł dźwięk tłuczonego szkła.

– Rumun stłukł jeszcze jedną szklanę – zarechotał z uciechą Davidov.

– Chwileczkę, mam rację, czy nie? – ciągnął łysy zaczepnym tonem, machając na potwierdzenie gazetą, schowaną dotąd pod serwetką. – Akurat dzisiaj piszą w gazecie o jakimś milionie dolarów przekazanym nieistniejącej jesziwie, to znaczy fikcyjnej, a w tym samym czasie ludzie, co urabiają sobie ręce po łokcie, mieszkają w namiotach...

– Drogi panie, jedno z niepisanych praw tego miejsca mówi, że nie zajmujemy się... – zaczął pan Micenmacher w stylu, który przyswoił sobie, kiedy jeszcze pracował w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

– Uspokój się, Micek, daj się człowiekowi trochę wypowiedzieć – Davidov położył mu rękę na ramieniu, ukrywając złośliwy uśmiezek.

Łysy kiwnął mu ręką w geście podziękowania, zjadł jeszcze jedną oliwkę, splunął pestką z tarasu i mówił dalej.

– I to nie tylko religijni, wszyscy tak robią. Nasz rząd jest skorumpowany... – Rumun ukazał się za kontuarem i zaczął kroczyć w stronę łysego, podpierając się o mijane stoły, czoło miał czerwone i spoczone, a cienkie ramiona wydawały się owłosione bardziej niż zazwyczaj. – Możecie być pewni, że gdyby to ode mnie zależało, zarżnąłbym wszystkich stu sześćdziesięciu posłów do Knesetu – ciągnął dalej zaczepnie łysy.

– Ale jest tylko stu dwudziestu – podgrzał atmosferę Davidov.

– Najpierw zarżniemy czterdziestu – zaśmiał się łysy – a jak mianują na ich miejsce nowych, przyłożymy wszystkim stu dwudziestu.

– Proszę natychmiast opuścić lokal – rozkazał Rumun załamującym się głosem, twarz miał pokrytą ciemną szczecina, której nikt dotąd nie zauważył.

– O co ci chodzi, dziadku? – wycedził łysy, wkładając do ust kolejną oliwkę. – Rozmawiamy sobie troszkę o polityce, no i co z tego? Przecież żyjemy w tym kraju, to co, nie wolno słowa powiedzieć?

– Żądam, żeby pan w tej chwili i natychmiast opuścił to miejsce – wycharczał Rumun cały spocony, wsparty o poręcz krzesła, a krople potu skapywały mu z zarośniętego czoła w gęstą brodę.

– Tu stanie się coś strasznego – wybełkotał pan Micenmacher, ponownie próbując wstać.

– Naprawdę, Micek, siadź i zjedz swoje lody, zanim się zupełnie rozpuszczą – powiedział Davidov rozkazującym tonem, sadzając pana Micenmachera z powrotem na krześle.

– Kłopot naszego państwa polega na tym, że są tacy ludzie jak ty – ciągnął łysy i wcisnął Rumunowi w kieszeń fartucha pestkę oliwki – przyzwyczajeni żreć gówno i kłaść uszy po sobie. Wierz mi, gdybyście otworzyli mordy trzydzieści lat temu, nie byłoby dzisiaj w Knesecie tych wszystkich koleśków.

Oparcie krzesła złamało się pod ciężarem Rumuna, ale on stał nadal, warcząc z cicha i tocząc pianę z ust.

– Te wszystkie przekręty już wtedy się zaczęły. Każdy, kto zna trochę historię, powie ci, że Ben-Gurion...

– Hu-hu – wykrzyknął niby ostrzegawczo Davidov. Rumun wydał mrozący krew w żyłach pomruk, dał susa i jego siekacze wygryzły kawał

mięsa z ramienia łysego. Wszystko trwało chwilę. – Słowo daję, od czasu tego faceta, który mówił o embargu na Sukkot przed dwoma laty, nie widziałem Rumuna tak rozjuszonego – zaśmiał się Davidov.

– Wstydź się – skarcił go pan Micenmacher i podszedł, żeby pomóc Rumunowi, który siedział na ziemi, zakrywał usta nasiąkniętym krwią fartuchem i łkał cicho.

– Nie wiem, co mi się stało, zachowałem się jak bydlę – skarżył się Rumun. – Mam to jeszcze z Transylwanii, zawsze kiedy mowa o polityce... – rozplakał się na dobre.

– Wiem, wiem – pan Micenmacher głaskał go uspokajająco po głowie. – A ty – zawołał do Davidova, który właśnie dzielił się wrażeniami z resztą siedzących przy stoliku – pochowaj na podwórzu tego nieszczęsnego pechowca.

– Jeszcze nie skończyłem kawy – próbował się wykręcić Davidov – niech go ktoś inny pochowa.

Pan Micenmacher spojrział na niego z wyrzutem.

– Już dobrze – podniósł się z krzesła. – Tylko żebym sobie nie zaplamił koszuli Lacosta, kupiłem ją tydzień temu – syknął i zakasał rękawy.

SZLOMO-HOMO-PIZDA-W-DOMU

Pani, co przyszła na zastępstwo, kazała wszystkim ustawić się w pary. I tylko Szlomo-homo-pizda-w-domu został sam.

– Ja będę twoją parą – powiedziała Pani na zastępstwie i podała mu rękę. I tak chodzili po parku, a Szlomo-homo widział łódki na sztucznym jeziorzku i olbrzymi pomnik pomarańczy, a jeden ptaszek nasrał mu na czapkę.

– Gówno ciągnie do gówna – krzyknął z tyłu Julek i wszystkie dzieci się śmiały.

– Nie zwracaj na nich uwagi – powiedziała Pani na zastępstwie i splukwała mu czapkę pod kranem.

Potem przyszedł lodziarz i wszyscy kupili u niego lody. Szlomo-homo zjadł loda „Pingwin”, a jak skończył, wsadził patyk w szparę między płytami chodnika i udawał, że to rakietka. Inne dzieci przewracały się po trawniku i tylko on i Pani na zastępstwie, która paliła papierosa i wyglądała na zmęczoną, stali na ścieżce.

– Proszę pani, dlaczego wszystkie dzieci mnie nienawidzą? – zapytał Szlomo-homo-pizda-w-domu.

– A skądżeż ja to mam wiedzieć? – Pani wzruszyła ramionami – w końcu jestem tylko na zastępstwie.

RURY

Kiedy przeszedłem do szóstej klasy, pojawił się u nas w szkole psycholog i zrobił nam testy kwalifikacyjne. Pokazał mi jeden po drugim dwadzieścia różnych obrazków i zapytał, co w nich jest nie w porządku. Wszystkie wydawały mi się zupełnie w porządku, ale on się uparł i pokazał jeszcze raz pierwszy obrazek z chłopcem.

– Co na obrazku jest nie w porządku – zapytał zmęczonym głosem.

Odpowiedziałem, że obrazek jest zupełnie w porządku. Strasznie się zirytował.

– Nie widzisz – powiedział – że chłopiec na obrazku nie ma uszu?

Rzeczywiście, teraz, kiedy jeszcze raz się przyjrzałem, zobaczyłem, że chłopiec naprawdę nie ma uszu, ale sam obrazek nadal wydawał mi się zupełnie w porządku. Psycholog określił mnie jako „cierpiącego na poważne zaburzenia percepcji” i skierował do technikum stolarskiego. W technikum okazało się, że mam alergię na pył drzewny i przeniósłem się na ślusarstwo. W zawodzie byłem całkiem niezły, ale nie sprawiało mi to przyjemności. Prawdę mówiąc, właściwie nic nie sprawiało mi specjalnej przyjemności. Kiedy skończyłem naukę, zacząłem pracę w zakładzie produkującym rury. Moim kierownikiem był inżynier z politechniki. Facet niesamowicie błyskotliwy. Gdyby mu pokazać obrazek z chłopcem bez uszu, połapałby się raz dwa.

Po godzinach pracy zostawałem w zakładzie i budowałem sobie całe systemy giętych rurek, które wyglądały jak pozwijane węże, i przetaczałem przez nie szklane kulki. Wiem, że to brzmi idiotycznie i nawet specjalnie mnie to nie bawiło, ale mimo wszystko nadal się tym zajmowałem.

Pewnego wieczora złożyłem rurkę cholernie skomplikowaną, z mnóstwem zagięć i zakrętów i kiedy wturlałem w nią kulkę – kulka nie wypadła z drugiej strony. Początkowo myślałem, że utknęła gdzieś po drodze, ale kiedy przetoczyłem jeszcze ze dwadzieścia kulek, zrozumiałem, że one po prostu znikają. Wiem, że to wszystko co mówię brzmi trochę głupio, każdy przecież wie, że szklane kulki nie znikają, ale kiedy przyglądałem się im jak wsadzane do rury z jednej strony, nie wychodzą z drugiej – nie wydawało mi się to nawet dziwne, to po prostu wyglądało zupełnie w porządku. Postanowiłem więc zbudować sobie dużą rurę, dokładnie według tego samego wzoru, i przeczołgać się przez nią, aż

zniknę. Kiedy myślałem nad tym pomysłem, byłem taki zadowolony, że zacząłem się śmiać. Chyba śmiałem się po raz pierwszy w życiu.

Od tego dnia zacząłem pracę nad olbrzymią rurą, pracowałem nad nią każdego wieczora, a rano ukrywałem części w magazynie. Dwadzieścia dni zabrała mi ta budowa, a ostatniej nocy przez pięć godzin składałem ją z części i zajęła chyba z pół hali.

Kiedy patrzyłem na nią, doskonałą i czekającą na mnie, przypomniałem sobie nauczycielkę socjologii, która powiedziała kiedyś, że pierwszy człowiek, który użył maczugi, nie był wcale najsilniejszym czy najmądrzejszym ze swojego plemienia – tacy nie potrzebowali maczug. Po prostu potrzebował jej bardziej niż inni, żeby przeżyć i ukryć swoją słabość. Nie sądzę, żeby był na świecie człowiek, który chciałby zniknąć bardziej ode mnie, i dlatego wynalazłem tę rurę. A nie jestem genialnym inżynierem, jak ten z politechniki, który kieruje naszym zakładem.

Zdecydowałem się przeczołgać przez rurę, chociaż nie wiedziałem, co mnie czeka po drugiej stronie. Może będą tam dzieci bez uszu, siedzące na stertach szklanych kulek, może... Nie wiem, co się dokładnie stało, kiedy przeszedłem przez określony punkt w rurze, wiem tylko, że teraz jestem tutaj.

Myślę, że teraz jestem aniołem, to znaczy, że mam skrzydła i takie kółko nad głową i są tu jeszcze setki takich jak ja. Kiedy tu dotarłem, siedzieli i grali w szklane kulki, które przeturlałem przez rurkę kilka tygodni temu.

Zawsze myślałem, że raj to takie miejsce dla ludzi, którzy byli dobrzy przez całe swoje życie, ale to wcale nie tak. Bóg jest zbyt łaskawy i miłosierny, żeby urządzić to w ten sposób. Raj to po prostu miejsce dla tych, co nie potrafili być szczęśliwi na Ziemi. Wy tłumaczono mi tutaj, że samobójcy wracają z powrotem na Ziemię i przeżywają życie od nowa, brak zadowolenia w pierwszym wcieleniu nie oznacza bowiem, że nie znajdą swojego miejsca w następnym. Natomiast ci, naprawdę nie pasujący do świata, znajdują drogę tutaj, każdy ma swoją własną drogę do raju.

Są tu lotnicy, co żeby tu dotrzeć wykonali pętlę dokładnie w określonym punkcie Trójkąta Bermudzkiego. Są gospodynie domowe, które przeszły przez tylne ścianki swoich szafek kuchennych, żeby się tu znaleźć, i matematycy, co wyszukali w przestrzeni topologiczną anomalię i przez nią tu przepelźli. Więc jeśli naprawdę nie jesteś tam na dole szczęśliwy i różni ludzie mówią ci, że cierpisz na poważne zaburzenia percepcji,

poszukaj swojej drogi, a jak ją znajdziesz – weź ze sobą karty, bo kulki już nam dość obrzydły.

SZALONY KLEJ

Powiedziała mi:

– Nie dotykaj tego!

A ja spytałem:

– Co to?

– Klej – odpowiedziała. – Klej wyjątkowy, super-klej.

A ja zapytałem:

– Po co to kupiłaś?

– Bo mi jest potrzebny – stwierdziła – mam mnóstwo rzeczy do przyklejenia.

– Nie ma nic do przyklejenia – zdenerwowałem się – nie rozumiem, po co kupujesz te wszystkie głupstwa.

– Po to samo, po co się ze mną ożeniłeś – rzuciła gniewnie – dla zabicia czasu.

Nie chciałem się kłócić, więc zmilczałem. Ona też się nie odezwała.

– I dobry ten klej? – zapytałem.

Pokazała mi obrazek na opakowaniu, przedstawiający kogoś wiszącego do góry nogami u sufitu, po tym jak posmarowano mu klejem podeszwy butów.

– Nie ma żadnego kleju, który mógłby utrzymać kogoś w tej pozycji – powiedziałem. – Sfotografowano to do góry nogami, a on tak naprawdę stoi na podłodze. Po prostu ustawiono żyrandol na podłodze, żeby wyglądała jak sufit. Od razu można to poznać po oknie w pokoju, uchwyt żaluzji jest odwrotnie, widzisz? – wskazałem okno na fotografii. Nie spojrzała.

– Już ósma – powiedziałem – muszę lecieć – podniosłem teczkę i pocałowałem ją w policzek. – Wrócę dzisiaj późno, bo...

– Wiem – przerwała – nadgodziny.

Z biura zadzwoniłem do Michał.

– Nie mogę dzisiaj przyjść, muszę wcześniej wrócić do domu.

– Dlaczego – spytała Michał. – Stało się coś?

– Nie... a właściwie tak. Myślę, że coś podejrzewa.

Zapadła długa cisza. Mogłem usłyszeć oddech po drugiej stronie słuchawki.

– Nie rozumiem, dlaczego ty z nią jesteś – wyszeptała w końcu. – Nic razem nie robicie, nawet się już nie kłócicie. Nie rozumiem, co sprawia, że jeszcze to ciągniecie, po prostu nie jestem w stanie pojąć, co was razem trzyma. Ja tego nie rozumiem – powtórzyła – po prostu nie rozumiem... – i zaczęła płakać.

– Nie płacz, Michał – powiedziałem. – Słuchaj – skłamałem – właśnie ktoś wszedł, muszę kończyć. Przyjdę jutro, obiecuję, to porozmawiamy.

Wróciłem do domu wcześniej. Powiedziałem „cześć”, ale nikt mi nie odpowiedział. Przechodziłem z pokoju do pokoju, ale w żadnym jej nie było. Na stole w kuchni znalazłem tubkę po kleju, zupełnie pustą. Spróbowałem odsunąć krzesło, żeby usiąść. Nie chciało się ruszyć. Spróbowałem ponownie. Ani o milimetr. Przykleiła je do podłogi. Lodówka nie dała się otworzyć, ją też sklepiła. Nie rozumiem, po co ona robi te wszystkie głupstwa, zawsze była w porządku, nie wiem, co jej się stało. Podszedłem do telefonu w salonie. Może poszła do swojej matki. Słuchawka nie dała się podnieść, też przyklejona. Kopnąłem z wściekłością stolik pod telefonem i prawie zwicznałem sobie nogę. Stolik nawet nie drgnął. I wtedy usłyszałem, jak się śmieje. Śmiech dobiegał skądś nade mną. Podniosłem głowę i ona była tam wysoko, wisząca głową w dół, z bosymi stopami przytwierdzonymi do sufitu salonu. Patrzyłem na nią osłupiały.

– Zwariowałaś? – spytałem. Nie odpowiedziała, uśmiechała się tylko. Jej uśmiech wyglądał tak naturalnie, kiedy wisiała odwrócona, jakby wargi rozciągały się bez wysiłku, za sprawą samej tylko siły ciężenia.

– Nie martw się, zdejmę cię – powiedziałem i zgarnąłem książki z półki. Ułożyłem kilka tomów encyklopedii jeden na drugim i wspiąłem się po nich.

– To może trochę zabołec – uprzedziłem, próbując utrzymać równowagę na szczycie tej sterty.

Nadal się uśmiechała. Pociągnąłem z całej siły, ale bez skutku. Zszedłem ostrożnie ze sterty.

– Czekaj – powiedziałem – pójdę do sąsiadów zadzwonić po pomoc.

– W porządku – zaśmiała się – nigdzie się nie wybieram.

Też się zaśmiałem. Była taka ładna i taka nielogiczna, zwieszona tak z sufitu. Długie włosy spływające w dół, piersi jak dwie krople wody kapiące spod białej trykotowej bluzki. Taka ładna. Wspiąłem się na stertę książek i pocałowałem ją. Poczułem jej język na moim, odepchnięte spod nóg książki, siebie samego szybującego w powietrzu, zawieszzonego tylko na jej wargach.

BRUDY

Założmy, że teraz umieram albo otwieram pralnię samoobsługową – pierwszą w kraju. Wynajmuję mały, nieco zaniedbany budynek na południu miasta i maluję wszystko na niebiesko. Na początku są tam tylko cztery maszyny i jeden automat do sprzedawania żetonów, później sprowadzam również telewizor, a nawet automaty do gry w pin-ball. Albo, że leżę na podłodze we własnej łazience z kulą w skroni. Znajduje mnie mój ojciec. Początkowo nie zwraca uwagi na krew. Myśli, że się zdrzemnąłem lub gram z nim w jedną z tych moich głupich gier. Dopiero kiedy dotyka mojego karku i czuje, jak coś ciepłego i lepkiego spływa mu po palcach, pojmuję, że coś jest nie tak. Ludzie, którzy przychodzą pracować w pralni samoobsługowej – to ludzie samotni. Nie trzeba być geniuszem, żeby na to wpaść. Ja naprawdę nie jestem geniuszem i wpadłem. Dlatego cały czas próbuję stworzyć w moich pralniach nastrój, który by osłabił poczucie samotności. Automaty, dziękujące ci ludzkim głosem, kiedy kupujesz żetony, na ścianach zdjęcia rodzin z włoskich filmów.

Stoły do składania upranej bielizny są skonstruowane w taki sposób, żeby wiele osób musiało ich używać jednocześnie. To nie z oszczędności, to specjalnie. Dzięki tym stołom wiele par zawrze u mnie znajomość. Ludzie, którzy kiedyś byli samotni, nagle znajdują się z kimś, czasem nawet więcej niż z jednym, kto zaśnie przy nich w nocy, trąci łokciem przez sen. Pierwsze, co robi mój ojciec – to myje ręce. Dopiero potem wzywa pogotowie. To mycie rąk zawstydzi go. Aż do śmierci sobie tego nie wybaczy. Będzie mu nawet wstyd opowiedzieć o tym komuś. O tym, jak jego syn leży obok i kona, a jemu, zamiast jakiegoś smutku, litości czy strachu, nie udaje się poczuć nic poza obrzydzeniem. Ta pralnia przekształci się w całą sieć. Sieć, która będzie gęsta zwłaszcza w Tel Awiwie, ale rozwinie się też na peryferiach. Logika tego sukcesu jest prosta – wszędzie tam, gdzie nie brakuje brudnej bielizny i ludzi samotnych, będą oni musieli przyjść do mnie. Kiedy umrze matka, nawet mój ojciec przyjdzie pracować do jednego z tych punktów. Nigdy nie pozna tam partnerki ani przyjaciela, ale sama ta możliwość będzie go popychała za każdym razem od nowa, da mu jakiś skrawek nadziei.

OBRAZ

Założmy, że ktoś obiecuje, że namaluje ci obraz. Jakiś tam obraz – nic określonego. Ty oddasz mu na miesiąc swoje mieszkanie, a on w zamian namaluje ci obraz. Nie podpisujecie umowy ani nic takiego, ale w każdym razie to interes jak każdy inny. Korzyść, obiektywnie rzecz biorąc, optymalna. Obie strony powinny być zadowolone. Ty wykorzystujesz jego wspaniałe zdolności malarskie, a on twój znany talent do okresowego znikania z kraju. Raz do Tajlandii, raz do Japonii, a tym razem założmy jakieś miejsce bardziej solidne. Na przykład Francja. Wiesz co? Paryż.

Najważniejsze pytanie, które powinno tu teraz paść – to czy ten interes jest uczciwy. Jest na pewno zgodny z prawem, ponieważ opiera się na obopólnej zgodzie. Ale czy jest uczciwy? Doprawdy, trudno powiedzieć: siedzisz sobie na Champs-Elysees, pijesz małą kawę, a on tymczasem ma ci malować obraz, jak jakiś niewolnik. Ale z drugiej strony suma za wynajęcie mieszkania w podobnym miejscu, gdyby chciał wynająć na miesiąc, byłaby dużo wyższa od wszystkiego, co mógłby dostać za swój obraz. A w końcu człowiek sra ci w twoim kiblu, śpi ci w twoim łóżku, przykrywa się twoją kołdrą, i nie tylko on, może jeszcze różni inni ludzie, których sprowadza do domu. W ogóle nie masz przecież pojęcia. A ty w tym samym czasie tkwisz w jakimś podejrzanym francuskim hotelu z antypatyczną recepcjonistką, która nie rozumie słowa po angielsku. A w ogóle całe to Champs-Elysees nie taka wielka atrakcja, z lipcowym słońcem, co wali cię po głowie i milionami japońskich turystów. Jak tu wytrzymać cały miesiąc – tylko Bóg jeden wie. Bóg hipotetyczny, oczywiście. Bo przecież to wszystko nie dzieje się naprawdę.

Założmy, że po dwóch tygodniach jesteś zmuszony wrócić. Ukradli ci portfel albo tylko myślisz, że ukradli, a właściwie zgubiłeś. Wypadł ci, wyrzuciłeś go – czy to ważne? Skończyły się pieniądze i wracasz. W umowie było „miesiąc” i powstaje pytanie: czy wolno ci wrócić do mieszkania wcześniej? Na pozór wydawałoby się, że tak, ale może jednak nie? Założmy przypadek odwrotny: że druga strona tego interesu zgubiła swoje przybory malarskie. Nie, to niedobry przykład – straciła talent; czy również w takim wypadku byłoby uczciwie z twojej strony żądać od niej skończenia obrazu? Analogia w tym przypadku nie jest zupełna, talent bowiem jest pojęciem wymykającym się wszelkiej definicji, z jakim nie udało ci się nigdy zetknąć osobiście, podczas kiedy mieszkanie jest rzeczą zapisaną hipotecznie, a francuska waluta to coś, co bez kłopotu można wziąć od rodziców. Jak by

nie było – wróciłeś do kraju i jesteście teraz w mieszkaniu razem. Jeden pokój jest twój, a drugi – drugiej strony umowy. W nocy spotykacie się czasem koło łazienki.

Druga strona ma ładną buzię, a także ciało, które cię bardzo podnieca. Załóżmy, że masz do niego dużą skłonność. Pocisz się. Wiesz co? Ułatwimy ci: założymy, że druga strona jest dziewczyną. Dziewczyną o bardzo ładnej buzi i ciele, które cię podnieca. Chodź, otworzę jakieś okno, teraz lepiej?

Tak jak w dowcipie z ogórkiem, druga strona jest ładniejsza. Ładniejsza od obrazów, które maluje. Ładna bowiem jest przez cały czas, a maluje tylko wtedy, kiedy nie śpi, nie je lub nie pierdoli się z nieznanymi ci facetami w pościeli, którą dostałeś od rodziców na urodziny. Wiesz co? W innej pościeli, ale z facetami, których akurat znasz. Nie, nie powiem z kim, ale nawet z takimi, których znasz doskonale.

No więc gdzie byliśmy? Ach, Champs-Elysees. Wyrzuciłeś gdzieś portfel i wróciłeś do kraju. Poradziliście sobie. Każde ma swój pokój. Tyle że w tym szczególnym przypadku jej pokój to też twój pokój. A obraz? W dupie ma teraz malowanie. A może nie, w każdym razie niezręcznie ci było zapytać ją wprost. Ale ci wszyscy faceci, którzy przychodzą i wychodzą w środku nocy. Doprowadzają ją do krzyków. A ty, tobie się wydaje, że to nieliczenie się z tobą. Bo gdyby udało ci się zasnąć, to na pewno by cię to obudziło. I w ogóle, co jest grane? Faceci, których znasz, a ja nie powiem którzy, doprowadzają ją do krzyków w środku nocy, a potem rano ona nie ma siły malować tego obrazu, który jest ci winna według prawa i obyczaju, i zgodnie z umową.

Z twojego punktu widzenia wszystko jest jasne, ale co jej możesz powiedzieć? Idź spać, żebyś miała siłę namalować ten obrazek, który mi jesteś winna? W życiu nie będziesz miała odwagi, zwłaszcza skoro przyjechałeś dwa tygodnie przed czasem. A poza tym być może ona jednak maluje, maluje z modela, znaczy z facetów, których znasz. Na przykład twojego starszego brata. W środku nocy. I kiedy on się trochę poruszy, ona krzyczy na niego z wielkiej frustracji. Co ona maluje? Bardzo warto to sprawdzić. Wiedz, że z samego obrazu można się wiele dowiedzieć o jej stosunku do ciebie. Może ona w ogóle jest w tobie zakochana? Może cały ten interes z mieszkaniem był tylko pretekstem, żeby się zbliżyć do ciebie? W każdym razie, czy nie byłbyś uprzejmy, proszę, zwolnić nieco uchwyt na szyi twego brata? Wydaje się lekko sinawy.

A więc gdzie byliśmy? Sinawy. Na koniec okazało się, że ona maluje ci morze. Nie, niebo. Och, przepraszam, udusiłeś swojego brata. A, tak,

akurat mówiliśmy, że z obrazu można się wiele nauczyć o charakterze człowieka.

STŁUC ŚWINKE

Tata nie zgodził się kupić mi figurki Barta Simpsona. Mama akurat się zgadzała. Ale tata się nie zgodził. Powiedział, że jestem rozpieszczony.

– Dlaczego mamy mu kupować, co? – powiedział mamie. – Dlaczego mamy kupować? On tylko piśnie, a ty już stajesz na baczność.

Tata powiedział, że nie mam szacunku dla pieniędzy i że jeśli nie nauczę się tego, kiedy jestem mały, to kiedy się nauczę? Dzieci, którym zbyt chętnie kupuje się figurki Barta Simpsona, wyrastają potem na łobuzów, okradających kioski, bo przyzwyczajają się, że wszystko, czego im się zachce, łatwo im przychodzi. Więc zamiast Barta kupił mi brzydką świnkę z porcelany z podłużną dziurą na grzbiecie i teraz już wyrosnę na kogoś porządnego, teraz już nie będę łobuzem.

Odtąd codziennie rano muszę pić szklanekę kakao, chociaż nienawidzę. Kakao z kożuchem to szekel, bez kożucha to pół szekla, a jeśli zaraz potem zwymiotuję, to nic nie dostaję. Monety wkładam do świnki przez grzbiet i kiedy nią potrząsnąć – brzęczy. Gdy w śwince będzie już tak dużo monet, że przy potrząsaniu nie wyda żadnego dźwięku, wówczas dostane Barta Simpsona na deskorolce. Tak powiedział tata, to jest wychowawcze.

Świnia jest nawet sympatyczna, ma zimny nos, kiedy się go dotknie, i uśmiecha się, kiedy wepchnąć jej w plecy szekla, a nawet kiedy wepchnąć tylko pół szekla, ale najładniejsze jest to, że uśmiecha się także wtedy, kiedy nie dać jej nic. Wymyśliłem dla niej imię, nazywam ją Pesahson, na pamiątkę jednego człowieka, który kiedyś był na naszej skrzynce na listy i tacie nie udało się zeszkrobać jego nalepki. Pesahson nie jest jak inne moje zabawki, jest dużo spokojniejszy, bez światełek, sprężyn i baterii, które rozlewałyby mu się w środku. Trzeba tylko uważać, żeby nie skoczył ze stołu na dół.

– Uważaj, Pesahson! Jesteś z porcelany – mówię mu, kiedy go przyłapię na tym, jak pochyla się lekko i patrzy na podłogę, a on uśmiecha się do mnie i czeka cierpliwie aż sam zdejmę go ze stołu. Przepadam za nim, gdy się uśmiecha, tylko dla niego piję codziennie rano kakao z kożuchem, żeby móc wepchnąć mu szekla w plecy i zobaczyć jak uśmiech nic a nic mu się nie zmienia.

– Kocham cię, Pesahson – mówię mu potem. – Tak szczerze, to kocham cię bardziej niż mamę i tatę. Zawsze cię będę kochał, choćby nie

wiem co, nawet jeśli będziesz okradał kioski. Ale niech cię ręka boska broni skakać ze stołu!

Wczoraj przyszedł tata, zdjął Pesahsona ze stołu i zaczął nim dziko potrząsać, w dodatku do góry nogami.

– Ostrożnie, tato – powiedziałem. – Pesahsona boli brzuch, jak tak robisz.

Ale tata nie przestawał.

– On już nie hałasuje, wiesz, Joawku, co to znaczy? Że jutro dostaniesz Barta Simpsona na deskorolce.

– Fajnie, tato – powiedziałem. – Bart Simpson na deskorolce, fajnie. Tylko przestań potrząsać Pesahsonem, to mu źle robi.

Tata odstawił Pesahsona na miejsce i poszedł zawołać mamę. Wrócił po chwili, jedną ręką ciągnął mamę, a w drugiej trzymał młotek.

– Widzisz, miałem rację – powiedział do mamy. – Dzięki temu on już wie, jak cenić rzeczy, prawda, Joawku?

– Pewnie, że wiem, ale po co młotek?

– To dla ciebie – powiedział tata i wetknął mi młotek do ręki. – Tylko bądź ostrożny.

– Pewnie, że będę ostrożny – powiedziałem i naprawdę byłem ostrożny, ale po paru chwilach tacie znudziło się czekanie i powiedział:

– No, stłucz już tę świnię.

– Co?! – spytałem. – Pesahsona?

– No, tak, Pesahsona – powiedział tata. – No, stłucz go. Należy ci się Bart Simpson. Zapracowałeś na niego wystarczająco ciężko.

Pesahson uśmiechnął się do mnie smutnym uśmiechem porcelanowej świnki, która rozumie, że nadszedł jej koniec. A żeby zdechł Bart Simpson! Ja miałbym dać młotkiem w głowę przyjacielowi?

– Nie chcę Simpsona! – oddałem tacie młotek. – Wystarczy mi Pesahson.

– Nie rozumiesz – powiedział tata. – To naprawdę jest w porządku, to jest wychowawcze, chodź, ja stłukę go za ciebie.

Tata już podniósł młotek, a ja spojrzałem w przerażone oczy mamy i na zmęczony uśmiech Pesahsona i wiedziałem, że wszystko zależy ode mnie, że jeśli nic nie zrobię – on już jest martwy.

– Tato – złapałem go za nogę.

– Co, Joawku? – spytał tata, a rękę z młotkiem ciągle miał uniesioną do góry.

– Ja chcę jeszcze szekla, proszę – błagałem. – Daj mi jeszcze włożyć mu jutro szekla po wypiciu kakao. I dopiero stłuc, jutro, obiecuję.

– Jeszcze szekla? – tata uśmiechnął się i położył młotek na stole. – Widzisz? Rozwinałem w dziecku świadomość.

– Tak, świadomość – powiedziałem. – Jutro.

Miałem już łzy w gardle. Kiedy wyszli z pokoju objąłem Pesahsona mocno, mocno i pozwoliłem łzom popłynąć. Pesahson nic nie powiedział, tylko leciutko drżał mi w rękach.

– Nie martw się – szepnąłem mu do ucha. – Ja cię uratuję.

W nocy czekałem, aż tata skończy oglądać telewizję w salonie i pójdzie spać. Wtedy cichutko, cichutko wstałem i wykradłem się z Pesahsoneni przez balkon. Długo szliśmy razem w ciemności, aż dotarliśmy na pole ze ścierniskiem.

– Świnki uwielbiają pola – powiedziałem do Pesahsona, kiedy postawiłem go na ziemi.

– A zwłaszcza ścierniska. Będzie ci tu dobrze.

Czekałem na odpowiedź, ale Pesahson nic nie odpowiedział, a kiedy dotknąłem go w nos na pożegnanie, tylko utkwiał we mnie smutne spojrzenie. Wiedział, że już mnie nigdy więcej nie zobaczy.

URODZINY BEZ ILUZJONISTY

W listopadzie dziewięćdziesiątego trzeciego, w audycji gospodarczej na drugim programie Dow Gnichowski proponował poprawkę do ustawy o ściąganiu podatków lokalnych. Moja mama, która nawet w wieku pięćdziesięciu trzech lat była ciągle oszałamiająco piękna, zaczęła powłóczyć nogami. Uśmiech został jej ten sam, także uścisk, miała nadal dość siły w rękach, ale kiedy chodziła, nogi nie chciały się podnosić. Na zdjęciach rentgenowskich można było zobaczyć, jeśli się chciało, czarne robaki drążące jej dziury w nerkach. Zbliżały się moje urodziny, data bardzo łatwa do zapamiętania – dwudziesty pierwszy dwunasty. Wiedziałem, że jak co roku mama zorganizuje mi coś wyjątkowego.

Zima dziewięćdziesiątego trzeciego była chyba najzimniejszą zimą w moim życiu. Mieszkałem sam i spałem w spodniach od dresu i skarpetach. Każdej nocy przed zaśnięciem starałem się dobrze wepchnąć podkoszulkę do spodni, żeby nie mieć odsłoniętych pleców, kiedy przekręcę się w łóżku podczas snu. Akurat nie wyszło mi z projektem dla drugiego kanału, w gazecie nie dali mi podwyżki, a moja była dziewczyna rozповідаła po całym mieście, że jestem pedał i impotent Budziłem się w nocy z odorem zgnilizny pod pachami. Wydzwaniałem do niej po nocach i z wielkiej ostrożności zasłaniałem dłonią słuchawkę również podczas wykręcania numeru, a kiedy odpowiadała – rozłączałem się. Byłem przekonany, że to wspaniała zemsta.

Moje urodziny przesunęliśmy o jeden dzień, ponieważ w nocy dwudziestego gazeta wysłała mnie do obserwatorium astronomicznego po tysiąc słów o grupie meteorów, które przelatują przez nasze niebo raz na sto lat. Chciałem napisać o jednym kolonizatorze z Kirjat Arba, rannym w głowę, który stał się rośliną, ale wytłumaczyli mi, że to nie moja działka. Tak dokładnie, to moją działką były lekkie kawałki na kolorowe strony. Co tydzień miałem je dostarczać na szesnastą i siedemnastą stronę dodatku, tak żeby każdy, kto przebrnął przez reportaże obronno-kryminalno-gospodarczo-polityczne, dostał coś na deser: światowy kongres weterynarzy, mistrzostwa uniwersum w jeździe na wrotkach, coś pokrzejającego. Próbowałem obstawać przy kolonizatorze, co oberwał po łbie – bardzo się z nim identyfikowałem. Jemu też nie wyszedł pewien projekt i przyszłość nie rysowała się budująco, ale redaktor się zaparł i pojechałem do obserwatorium koło Hadery z fotografem, którego przedtem nie znałem. Fotograf opowiadał, że już od miesiąca chce mu się rzygać na myśl o

gazecie. Miał w garści film ze zwłokami żołnierza zabitego na terenach okupowanych, naprawdę, zdjęcie odciętej głowy nadzianej na kij, a kutas redaktor nie zgodził się opublikować, powiedział, że to tanie.

– O linczu też by pewnie powiedział, że tanie – fotograf wyżywał się na skrzyni biegów wynajętego samochodu – pewnie i takich jak Pekinpah, wydaje mu się, że pięciu za szekla można kupić. Moje zdjęcie tego żołnierza, to teraz zdjęcie do muzeum, a nie do gazety.

Próbowałem zgadnąć, co mama przygotuje mi na urodziny. W prezencie dostanę na pewno nowy reporterski magnetofon albo piecyk z dmuchawą, takich rzeczy przynajmniej najbardziej potrzebowałem. Na sam wieczór upiecze mi ciasto marchewkowe – moje ulubione. Posiedzimy trochę, pogadamy, brat przyjedzie specjalnie z Raanany. Tata powie, że strasznie jest ze mnie dumny i pokaże album do fotografii z czarnymi stronami, na których są ponaklejane moje artykuły. Nie wiem dlaczego, przypomniałem sobie swoje dziesiąte urodziny, na które rodzice zamówili iluzjonistę i przyszła cała moja klasa.

Dotarliśmy z fotografem do obserwatorium. Było strasznie zimno, a ja musiałem pozbierać do tekstu wypowiedzi kręcących się tam fanów meteorów. Ludzie opowiadali mi, że to nie jakieś tam sobie meteory stulecia, ale grupa, która przechodzi obok kuli ziemskiej tylko raz na siedemset lat. Mój magnetofon nie działał i musiałem wszystko notować ręcznie.

– Ale syf – narzekał fotograf – na terenach okupowanych ludzie wyrzynają się nawzajem, a ja robię zdjęcia okularnikom w waciakach onanizującym się na teleskopie. Mam nadzieję, że przynajmniej te kamienie na niebie dobrze wyjdą.

Oprócz ciasta mama zrobi spaghetti, które uwielbiam, i zupę marchewkową. I za każdym razem, kiedy będzie zmęczonym krokiem szła do kuchni, będę chciał umrzeć.

Meteory nadciągnęły jak zawsze co siedemset lat i fotograf powiedział, że wyglądają jak śmiecie i w gazecie to wyjdzie jeszcze gorzej. Pojawiają się raz na tyle czasu, powiedział, to niech chociaż dadzą jakiś kawałek. A ja sobie myślałem, że jeśli nie iluzjonista, to żeby chociaż meteory odwiedziły nasz dom i wszystko spaliły. Moją mamę, mojego brata, jej robaki w brzuchu i mnie z moim tysiącem słów na szesnastej i siedemnastej stronie. Wszyscy będą wtedy zadowoleni, nawet moja była dziewczyna będzie lepiej spała w nocy. Jak w tamte urodziny z iluzjonistą, kiedy mojemu bratu i mnie wypadały ciągle monety z uszu. Kiedy moja

mama szybowiała w powietrzu jak baletnica na księżycu, a tata tylko się uśmiechał i milczał.

CHODNIKI

Jak zwykle dotarłem po tygodniu. Nigdy nie zjawiam się w terminie. Na pogrzeb i pierwszą rocznicę jeszcze przyszedłem. Ale te wszystkie spojrzenia, te mocne uściski rąk, matka uśmiechająca się do mnie ze łzami w oczach i pytająca, kiedy zrobię dyplom – no to przestałem przychodzić. Ta data i tak nic mi nie mówi, chociaż tak łatwo ją zapamiętać. Dwunasty dwunasty.

Siostra Ronena jest lekarką w Bejlinson – miała akurat dyżur wtedy, kiedy twój puls przestał bić. Słyszałem jak Ronen mówi do Yizahara, że umarłeś dokładnie, ale to dokładnie o dwunastej. Ronen strasznie się tym zachwycił:

– Dwunastego dwunastego o godzinie dwunastej, wyobrażasz sobie, co za zbieg okoliczności? – szeptał tak głośno, że wszyscy go słyszeli. – To jakby znak z nieba.

– Doprawdy zdumiewające – wycedził Yizahar. – Gdyby wytrzymał jeszcze dwanaście minut i dwanaście sekund, wydaliby na pewno na jego cześć znaczek, albo co.

Naprawdę łatwo zapamiętać – datę, znaczy się, i znak drogowy, który razem ukradliśmy w Sądny Dzień. A także ten głupi bumerang, który przywieźli ci z Australii; rzucaliśmy nim w parku, jak byliśmy dziećmi, i nigdy nie wracał. Co roku przychodzę, stoję przy grobie i przypominam sobie coś nowego. Pamiętam dobrze, pamiętam bardzo dobrze. Wypiliśmy po pięć butelek piwa, a potem strzeliłeś sobie jeszcze trzy setki wódki. Czulem się tej nocy nieźle, trochę przymulony, ale nieźle. Ty? Ty byłeś kompletnie pijany. Wyszliśmy z pubu i ruszyliśmy w stronę twojego domu, do którego było jakieś kilkaset metrów. Mieliśmy na sobie szare płaszcze przeciwdeszczowe, które kupiliśmy razem w Nahalat Beniamin. Szedłeś takim krokiem niezbyt pewnym, zderzyłeś się ramieniem ze słupem telegraficznym, zrobiłeś krok do tyłu i utkwiełeś w nim ogłupiałe spojrzenie. Przymknąłem oczy i czerń rzęs zmieszała się z ciemnymi prądami alkoholu. Próbowałem wyobrazić sobie, że jesteś daleko ode mnie, na przykład w innym kraju, i ta myśl tak mnie przestraszyła, że natychmiast otworzyłem oczy, akurat żeby zobaczyć, jak robisz jeszcze jeden krok i padasz do tyłu. Złapałem cię, zanim rąbnałeś o ziemię, a ty uśmiechnąłeś się do mnie z głową przechyloną do tyłu, jak mały chłopiec, co znalazł nową zabawę.

– Zwyciężyliśmy – powiedziałaś do mnie, kiedy pomogłem ci stanąć prosto. – Zwyciężyliśmy – powtórzyłaś. W ogóle nie rozumiałem, o czym mówisz. Potem przeszliśmy jeszcze kilka kroków i znowu padłaś, specjalnie. Po prostu pozwoliłaś ciału opaść do przodu, a ja złapałem cię za kołnierz płaszcza o sekundę wcześniej, nim twoja twarz walnęła o chodnik.

– Dwa zero – powiedziałaś i oparłaś się o mnie. – Jesteśmy tacy świetni, że te chodniki nie mają żadnej szansy. – Szliśmy dalej w stronę twojego domu i co parę metrów rzucałaś się na chodnik, a ja za każdym razem cię łapałem. Za pasek, za biodra, za włosy. Nie dawałem ci dotknąć ziemi.

– Sześć zero – powiedziałaś, a potem – dziewięć zero. – To była wspaniała gra, byliśmy nią zachwyceni. Nie mogliśmy przegrać.

– Chodź, utrzymamy wynik do zera – szepnąłem ci do ucha.

I rzeczywiście zrobiliśmy tak, dotarliśmy do twego domu ze wspaniałym rezultatem dwadzieścia jeden do zera. Weszliśmy na schody, zostawiając za sobą przegrane chodniki.

W twoim mieszkaniu siedział trzeźwy współlokator i oglądał telewizję.

– Dołożyliśmy im – obwieściłaś mu, kiedy weszliśmy, a on przetarł oczy za szklami okularów i powiedział, że wyglądamy strasznie. Poszedłem umyć twarz i zanim dotarłem do kranu, puściłem pawia do wanny. Usłyszałem, jak krzyczysz z korytarza, że tak nie będziesz szczał. Wyszedłem z łazienki i zobaczyłem cię kiwającego się ze spodniami opuszczonymi poniżej kolan.

– Nie robię żadnego siusiu, jak ty mnie trzymasz – powiedziałaś do współlokatora. – Nie polegam na tobie. Tylko jak on trzyma – wskazałaś na mnie – tylko jak on.

– To nic osobistego – uśmiechnąłem się do współlokatora – po prostu mamy to przetrenowane.

Podtrzymałem cię za biodra.

– Zwariowaliście – potrząsał głową współlokator i wrócił do oglądania telewizji.

Skończyłaś sikać. Puściłem jeszcze jednego pawia. Po drodze do łóżka znowu padłaś, złapałem cię z trudem i obaj przewróciliśmy się na podłogę.

– Wiedziałem, że mnie złapiesz! – krzyknąłeś. – Popatrz – spróbowałeś wstać – już w ogóle nie boję się upaść.

Dwóch chłopców w twojej części cmentarza rzuca piłką tenisową w płyty nagrobków. Myślę, że zrozumiałem zasady gry. Jeśli trafią w płytę na grobie oficera – punkt dla nich. Jeśli trafią w płytę szeregowca – punkt na korzyść cmentarza. Trafili w twoją płytę, piłka odbiła się i wpadła mi prosto do ręki. Złapałem ją. Jeden z chłopców zbliżył się do mnie lęklwym krokiem.

– Pan jest strażnikiem? – zapytał. Potrząsnąłem głową.

– To odda nam pan piłkę? – zbliżył się jeszcze o krok. Podałem mu piłkę. Podszedł jeszcze bliżej nagrobka z wbitym w niego wzrokiem. – „St. sierż.” – krzyknął do stojącego dalej kolegi.

– Co to jest „st. sierż.”? – zapytał tamten. Ten z piłką wzruszył ramionami.

– Przepraszam – spytał mnie. – „St. sierż.” to oficer czy zwykły żołnierz?

– Pewnie, że oficer – powiedziałem. – To skrót zastępcy głównego dowódcy.

– Jest! – krzyknął i podrzucił piłkę do góry. – Osiem siedem dla nas.

Kolega podbiegł do niego.

– Pokonaliśmy nagrobki! – krzyczał. – Pokonaliśmy nagrobki!

I obaj zaczęli skakać i drzeć się, jakby wygrali co najmniej mistrzostwa świata.

TESKNIĄC ZA KISSINGEREM

Ona mówi, że nie kocham jej naprawdę. Mówię, że ją kocham, myślę, że ją kocham, ale nie kocham. Słyszałem już o ludziach, którzy mówią, że kogoś nie kochają, ale ustalać za kogoś innego, czy on ich kocha? To mi się jeszcze nie zdarzyło. Słusznie, należy mi się, jak ktoś godzi się spać ze skunksami, niech nie płacze, że mu dzieci śmierdzą. Pół roku już zawraca mi głowę, wpycha sobie po stosunku palce do cipy, żeby sprawdzić, czy naprawdę skończyłem, a ja zamiast powiedzieć jej coś, mówię „już dobrze, kochanie, wszyscy jesteśmy trochę niepewni siebie”. No więc teraz ona chce, żebyśmy się rozstali, bo zdecydowała, że jej nie kocham. I co jej powiem? Jeśli krzyknę na nią, że jest głupia i żeby przestała głowę zawracać, to będzie dla niej tylko dowód. „Zrób coś, żeby mi udowodnić, że mnie kochasz” – mówi. Co chce, żebym zrobił? No, co? Niech tylko powie. Ale ona – nie. Bo jeśli naprawdę kocham, muszę sam wiedzieć. To na co owszem, na co się zgadza, to albo dać sugestię, albo powiedzieć, co nie. Jedno z dwojga, mogę wybrać. No to powiedziałem, że chcę wiedzieć, co nie, przynajmniej coś będzie wiadomo. Z jej sugestii na pewno nic nie zrozumie. „To, co nie – mówi – to coś związanego z wyrządzeniem sobie szkody, jak wydłubanie sobie oka czy obcięcie ucha, bo wtedy krzywdzisz kogoś, kogo kocham, a pośrednio też mnie. A krzywda kogoś bliskiego, to na pewno nie dowód miłości”. No naprawdę, w życiu bym siebie nie skrzywdził, nawet gdyby tego nie mówiła. Co w ogóle za związek między wydłubaniem sobie oka i miłością? No, a co tak? Tego nie ma zamiaru wyjawić, tyle tylko że też niedobrze, gdybym to zrobił swojemu ojcu albo braciom czy siostram. Ja już wymiękam i mówię sobie, że czego bym nie zrobił, nic mi nie pomoże. I jej też nie. Kto zadaje zagadki zaćpanym Murzynom, skończy budząc się z połamanymi kośćmi. Ale potem, kiedy się kochamy i ona wbija skupione spojrzenie głęboko w moje źrenice – (nigdy nie zamyka oczu w trakcie kochania, żebym nie wepchnął jej do ust cudzego języka) – w nagłym olśnieniu pojmuję. „To moja matka?” – pytam, a ona odmawia odpowiedzi. „Jeśli naprawdę mnie kochasz, sam wiesz”. I po sprawdzeniu palców, które wyjęła z cipy, wyrzuca z siebie: „I żebyś nie przynosił mi ucha czy palca, czy czegoś takiego. Ja chcę jej serce, słyszysz? Serce”.

Jadę z nożem całą drogę do Petah-Tikvy, dwoma autobusami. Nóż ma półtora metra, zajmuje podwójne siedzenie. Powinienem kupić dodatkowy bilet. Czego ja dla niej nie zrobię, czego ja dla ciebie nie zrobię,

skarbie? Całą Sztampfer przeszedłem na piechotę z nożem na plecach, jak jakiś arabski samobójca. Matka wiedziała, że przyjdę, więc przygotowała mi coś do zjedzenia z piekielnymi przyprawami, tak jak to tylko ona potrafi przyprawić. Jem i milczę, jednego złego słowa nie mogę powiedzieć. Kto połyka sabry razem z kolcami, niech się nie skarży, że ma hemoroidy.

– Jak się czuje Mira? – pyta matka. – W porządku u niej, naszej milusińskiej? Ciągłe wpycha sobie tłuszczutki paluszki do cipki?

– W porządku – mówię – naprawdę w porządku. Prosiła o twoje serce. Wiesz, żeby zobaczyć, czy ją kocham.

– Zanieś jej serce Barucha – śmieje się matka. – W życiu się nie zorientuje.

– Och, mamó – denerwuję się – nie jesteśmy na etapie tych wszystkich kłamstw. Mira i ja jesteśmy na etapie szczerości.

– Dobrze – wzdycha matka – to zanieś jej moje, nie chcę, żebyście się kłócili przeze mnie. Coś mi to przypomniało: a co z dowodem dla twojej kochającej matki, którą też przecież kochasz troszeczkę?

Ciskam w gniewie serce Miry na stół. Dlaczego one mi nie wierzą? Dlaczego zawsze mnie sprawdzają? I znowu teraz jechać z powrotem dwoma autobusami z tym nożem i z sercem matki! A jej na pewno nie będzie w domu, wróci znowu do swojego poprzedniego chłopaka. Nie żebym kogoś winił, tylko siebie.

Są dwa rodzaje ludzi, tacy, którzy lubią spać od ściany, i tacy, którzy lubią spać z tymi, co ich zepchną z łóżka.

DZIURA W ŚCIANIE

W alei Bernadot, niedaleko Dworca Centralnego, jest dziura w ścianie. Kiedyś był tam bankomat, ale zepsuł się czy co, a może po prostu przestano go używać i przyjechała ciężarówka z ludźmi z banku, zabrali go i nigdy nie przywieźli z powrotem.

Ktoś kiedyś powiedział Udiemu, że jeśli krzyknąć do tej dziury w ścianie życzenie, to się spełni, ale Udi nie bardzo uwierzył. Prawda jest taka, że kiedyś, kiedy wracał wieczorem z kina, krzyknął do dziury w ścianie, że chce, żeby Dafna była w nim zakochana i nic się nie stało. A innym razem, kiedy czuł się strasznie samotny, wrzasnął do dziury, że chce mieć przyjaciela anioła i rzeczywiście zjawił się potem anioł, ale wcale nie był przyjacielem i zniknął zawsze wtedy, kiedy naprawdę był potrzebny. Ten anioł był chudy, zgarbiony i cały czas chodził w płaszczu przeciwdeszczowym, żeby mu nie było widać skrzydeł. Ludzie na ulicy byli pewni, że to garbus. Czasem, kiedy byli sami, zdejmował płaszcz, a raz nawet pozwolił Udiemu obmacać sobie pióra na skrzydłach, ale kiedy ktoś jeszcze był w pokoju, siedział zawsze w płaszczu. Dzieci Kleina spytały go kiedyś, co ma pod tym płaszczem, to odpowiedział, że plecak z cudzymi książkami, bo boi się, żeby nie zmokły. W ogóle kłamał bez przerwy. Opowiadał Udiemu takie historie, że można było skonać: o różnych miejscach w niebie, o ludziach, którzy zostawiali kluczyki w stacyjce samochodu, kiedy szli do domu spać, o kotach, które niczego się nie bały, nie wiedziały nawet co to „spadaj”.

Co za historie wymyślał i jeszcze potem przysięgał na Boga!

Udi strasznie go lubił i zawsze starał się mu wierzyć, nawet mu pieniądze pożyczył parę razy, kiedy tamten był w podbramkowej sytuacji. Natomiast anioł nie pomógł Udiemu w niczym, tylko gadał, gadał i gadał, i opowiadał swoje zwariowane historie. Przez sześć lat znajomości Udi nie widział, żeby choć szklankę umył.

W pierwszym okresie służby wojskowej, kiedy Udi naprawdę potrzebował kogoś, z kim mógłby porozmawiać, anioł znikł nagle na dwa miesiące i wrócił potem z wypisanym na zarośniętej gębie: nie-pytaj-co-się-stało. I Udi nie pytał, a w sobotę usiedli smutni w samych gatkach na dachu i wygrzewali się na słońcu. Udi przyglądał się dachom dookoła, podłączeniom telewizji kablowej i zbiornikom na wodę podgrzewaną

słońcem. Uprzytomnił sobie nagle, że ani razu przez te lata, kiedy byli razem, nie widział anioła fruującego choćby jeden jedyny raz.

– Może byś pofruwał trochę w powietrzu – powiedział do anioła. – Poprawiłoby ci to humor.

– Daj spokój – powiedział anioł – jeszcze ktoś zobaczy.

– No, naprawdę – poprosił Udi – pofruń troszkę, tylko dla mnie.

Ale anioł tylko beknął wstrętnie i splunął na wysmołowany dach śliną zmieszaną z białawą flegmą.

– Zresztą nie potrzeba – prowokował Udi. – Na pewno nie umiesz fruwać.

– Pewnie, że umiem – zdenerwował się anioł. – Po prostu nie chcę, żeby mnie ktoś zobaczył.

Na przeciwległym dachu widzieli dzieci, zrzucające na ulicę plastikowe torebki z wodą.

– Wiesz – uśmiechnął się Udi – kiedyś, kiedy byłem mały, jeszcze zanim cię poznałem, często tu przychodziłem i rzucałem torebki z wodą na ludzi przechodzących ulicą. Trafiałem dokładnie w szparę między dwoma daszkami – Udi przechylił się teraz przez poręcz i wskazał przerwę między daszkiem sklepu spożywczego a sklepem z butami. – Ludzie podnosili głowy do góry, widzieli daszek i nie mogli zrozumieć, skąd to na nich spada.

Anioł także wstał, spojrział na ulicę i otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Nagle Udi popchnął go lekko i anioł stracił równowagę. To było tak żartem, nie chciał mu zrobić nic złego, tylko zmusić go, żeby trochę pofrunął, po prostu dla jaj. Ale anioł spadł z piątego piętra jak worek kartofli. Udi patrzył na niego, leżącego tam w dole, na chodniku, kompletnie osłupiały. Całe ciało zupełnie nieruchome, tylko skrzydła wstrząsane ostatnim, jakby przedśmiertnym drżeniem. Wtedy dopiero, koniec końców, zrozumiał, że nic z tego, co anioł opowiadał, nie było prawdą, że nawet nie był aniołem – ot, po prostu kłamczuch ze skrzydłami.

MISTRZ ŚWIATA

Na pięćdziesiąte urodziny przyniosłem mojemu ojcu w prezencie pozłacany wyciorek do pępka, który na rączce miał napis „Dla człowieka, który niczego nie potrzebuje”. Bardzo się wahałem między tym a „Sierpniem w płomieniach”. Tata przez cały wieczór był w świetnym humorze i strasznie się wygłupiał. Pokazał wszystkim, jak czyści sobie szczoteczką pępek i wydawał odgłosy zadowolonego słonia. A mama powiedziała:

– Uff, Menahem, przestań. Ale on nie przestawał.

W pięćdziesiąte urodziny lokator z mieszkania na dole zdecydował, że się nie wyprowadzi, mimo że skończyła mu się umowa.

– Słuchaj pan, panie Folman – powiedział do mojego ojca, pochylony w pozycji rzeźnika nad rozbebeszonym wzmacniaczem „Marantza” – w lutym jadę do Nowego Jorku otwierać ze szwagrem warsztat naprawy sprzętu stereo. I nie ma takiej możliwości, żebym wszystkie swoje rzeczy zabierał stąd tylko po to, żeby znaleźć mieszkanie na dwa miesiące.

A kiedy ojciec powiedział, że umowa skończyła się w grudniu, zajął się jak gdyby nigdy nic swoim SZYMEK-ELEKTRONIKA i powiedział tonem kogoś opędzającego się od kwestującego nudziarza:

– Umowa-szmowa, a ja zostaję. Nie podoba się? To zaskarż mnie pan!
– po czym gwałtownym ruchem zanurzył śrubokręt w bebeczach wzmacniacza.

W pięćdziesiąte urodziny poszedłem z ojcem do adwokata, a ten powiedział, że nic nie można zrobić.

– Niech pan się z nim dogada – poradził i zaczął grzebać w szufladach w rozpaczliwym poszukiwaniu czegoś tam. – Niech pan spróbuje wyciągnąć od niego jeszcze jakieś trzysta – czterysta i kwita. Sprawa w sądzie będzie pana kosztowała kupę zdrowia i zawracania głowy, a po dwóch latach bieżaniny i tak wcale nie jest pewne, że wyciągnie pan więcej.

W pięćdziesiąte urodziny dałem mojemu ojcu radę, żeby wejść w nocy do mieszkania SZYMKA-ELEKTRONIKI, wymienić zamek i wywalić wszystkie jego bety na podwórze. A ojciec powiedział, że to niezgodne z

prawem i żebym nie ośmielił się tego zrobić. Spytałem, czy to dlatego, że się boi, ale powiedział, że nie, że po prostu jest realistą.

– Po co? – zapytał i pogłaskał się po łysinie. – Sam powiedz – po co? Dla trzech miesięcy? Daj spokój, to niewarte tego wysiłku.

Na pięćdziesiąte urodziny przypomniałem sobie, jaki ojciec był kiedyś, kiedy byłem dzieckiem. Wysoki taki i pracował w Tel Awiwie. Zabierał mnie na wycieczki. Nosił mnie na barana i bawił się ze mną w worek mąki. Krzyczałem do niego „wio!”, a on biegał jak wariat w górę i w dół po schodach. Wtedy jeszcze nie był realistą, był mistrzem świata we wszystkim.

W pięćdziesiąte urodziny stałem na klatce schodowej i patrzyłem na niego. Był łysy, miał brzuch i nienawidził swojej żony, która była moja matka. Ludzie cały czas deptali po nim, a on mówił sobie, że to niewarte wysiłku. Myślałem o skurwysynu lokatorze, który siedzi teraz w mieszkaniu mojego zmarłego dziadka, zęca się nad wzmacniaczami i po prostu wie, że ojciec nic nie robi, bo jest zmęczony, bo trzęsie mu się pępek, bo nawet jego syn, który ma dopiero dwadzieścia trzy lata, nie robi nic.

W pięćdziesiąte urodziny myślałem chwilę o życiu. O tym, jak ono szczyta na nas wielkim łukiem. Jak zawsze ustępujemy wszelkim gnojkom, bo nie są warci wysiłku. Myślałem o sobie, o mojej dziewczynie, Talii, której tak za bardzo nie kocham, o łysinie, co czai mi się na głowie pod włosami, o tej ociężałości, która jakoś zawsze powstrzymuje mnie od mówienia nieznanym w autobusie, jaka jest piękna, i od wysiadania na przystanku i kupowania jej kwiatów. Tata wszedł już do domu, a ja zostałem sam na klatce schodowej. Zgasło światło, a ja nawet nie podszedłem go zapalić. Dławiło mnie w gardle, czułem się jak ostatni cwel. Myślałem o moich dzieciach, które za trzydzieści lat będą biegały jak szczury po labiryncie w Dizengoff Center i w końcu wrócą do mnie z „Sierpniem w płomieni ach”.

W pięćdziesiąte urodziny przywaliłem lokatorowi ojca w mordę francuskim kluczem.

– Złamałeś mi nos – jęczał Szymek. – Złamałeś mi nos – i wił się po podłodze.

– Nos-szmos – podniosłem wzmacniacz Philipsa ze stołu – nie podoba się? To mnie pan zaskarż.

Myślałem o moim ojcu, który siedzi teraz na pewno w sypialni i czyści sobie pępek szczoteczką z połączoną rączką. Zdenerwowało mnie to, strasznie zdenerwowało. Odstawiłem wzmacniacz na miejsce i przyłożyłem mu jeszcze po łbie.

DZIEWCZYNA KORBIEGO

Korbi był skurwielem jak oni wszyscy. Z gatunku tych, co to nie wiesz czy bardziej głupi, czy szpetny. Jak każdy skurwieli miał też piękną dziewczynę, co to nikt nie był w stanie pojąć, co ona z nim robi. Była wysoką szatynką, wyższą od niego, i nazywała się Marina. Zawsze, kiedy przechodziłem koło nich ulicą z moim starszym bratem, Mironem, patrzyłem z przyjemnością, jak on kręci głową od jednego do drugiego, takim powolnym, niby przeczącym ruchem, jakby mówił do siebie „Ale szkoda, ale szkoda!”. Zdaje się, że dziewczyna Korbiego też patrzyła na te ruchy głową z przyjemnością, bo zawsze, kiedy przechodziliśmy ulicą naprzeciwko niej i Korbiego, uśmiechała się do mojego brata. Aż w którymś momencie to zrobiło się więcej niż uśmiechaniem i zaczęła przychodzić do nas do domu, a mój brat zaczął mnie wyrzucać z pokoju. Na początku przychodziła na krótko, tylko w południe. Potem już zostawała całe godziny i wszyscy w dzielnicy połapali się, co jest grane. Wszyscy poza Korbim i jego durnym kumplem, Krotoczyńskim, którzy przesiadywali całe dni na odwróconych skrzynkach przed sklepem Persa, grali w damkę i pili oranżadę. Jakby poza tymi dwiema rzeczami nie było już w życiu nic innego. Mogli siedzieć nad grą godzinami i liczyć tysiące punktów zwycięstw i klęsk, które nikogo oprócz nich nie obchodziły. Kiedy tamtędy przechodziłeś, miałeś zawsze wrażenie, że gdyby Pers wieczorem nie zamykał sklepu albo Marina by nie przychodziła, tkwiliby tam po wieczne czasy. Bo poza Mariną i Persem, który wyciągał spod niego skrzynkę, nic nie skłoniłoby Korbiego do ruszenia tyłka.

Od czasu, kiedy Marina zaczęła odwiedzać nasz dom, minęło kilka miesięcy. To, że brat wyrzucał mnie z pokoju, stało się zupełnie normalne i myślałem, że tak już zostanie na zawsze, a przynajmniej do czasu, kiedy pójdzie do wojska. Aż pewnego dnia poszliśmy z bratem do wesołego miasteczka. Od naszego domu w Ramat-Ganie było to dość daleko, jakieś pięć kilometrów. Ale brat się uparł, żeby nie jechać autobusem, tylko iść pieszo – uważał to za dobrą rozgrzewkę przed mistrzostwami wesołego miasteczka w odbijaniu piłki. Był już wieczór, obaj mieliśmy na sobie dresy, a kiedy przechodziliśmy koło sklepu Persa, zobaczyliśmy, jak wylewał pod drzewem naprzeciwko wiadro z pomyjami po myciu podłogi i szykował się do zamykania.

– Widział pan dzisiaj Marinę? – zapytał go brat. A Pers odpowiedział mu czymś w rodzaju mlaśnięcia, które brzmiało jak „nie” nawet dla kogoś,

kto nie znał perskiego. – Korbiego też dzisiaj nie widziałem – powiedział Pers. – Pierwszy raz tego lata nie przyszedł. Nie wiem dlaczego, dzień akurat ładny. Poszliśmy dalej.

– Też na pewno poszli z Krotoczyńskim do wesołego miasteczka – powiedziałem.

– Co mnie obchodzi, gdzie poszli? – wycedził brat. – Co to kogokolwiek obchodzi, gdzie oni poszli?

Ale Korbi nie poszedł do wesołego miasteczka. Wiem, bo spotkaliśmy go po drodze, w Parku Hajarkon, niedaleko sztucznego jeziora. Szli z Krotoczyńskim ścieżką naprzeciw nas. Korbi trzymał w ręku zardzewiały drąg żelazny, Krotoczyński drapał się po głowie i nie rozmawiali ze sobą, jakby skupieni na czymś ważnym. Nie powiedzieliśmy im „cześć” i oni nam też nie. Dopiero kiedy byliśmy tuż przy nich, kiedy już prawie ich minęliśmy, Korbi otworzył usta i powiedział:

– Skurwysyn.

I zanim zrozumiałem, co się stało, zdążył przywalić Mironowi tym zardzewiałym drągiem w brzuch, a brat upadł na asfalt ścieżki, wijąc się z bólu. Chciałem do niego podejść i pomóc mu wstać, ale Krotoczyński złapał mnie z tyłu.

– Ty – kilkoma kopniakami Korbi przewrócił mojego brata z brzucha na plecy – ukradłeś mi dziewczynę w czasie, kiedy była moja – wrzasnął. Gębę miał zupełnie czerwoną i zanim brat zdążył odpowiedzieć, postawił mu but na gardle i przeniósł na nie prawie cały swój ciężar. Próbowałem się uwolnić, ale Krotoczyński trzymał mnie zbyt mocno.

– Wiesz, Gold, że na to, co zrobiłeś, jest kawałek w dziesięciu przykazaniach? – wysyczał Korbi. – Nazywa się – nie kradnij. A ty? Ty masz to gdzieś.

– Nie cudzołóż – powiedziałem, sam nie wiem czemu, a z dołu brat przesłał mi pełne wyrzutu spojrzenie.

– Co powiedziałaś? – zatrzymał się Korbi. Kiedy zwrócił się do mnie, zmniejszył trochę nacisk na gardło Mirona, który zaczął już krztusić się i charczeć.

– Powiedziałem, że to, o co ci chodziło, to „nie cudzołóż” – wybełkotałem. – To inne przykazanie. – Modliłem się do Boga, żeby Mironowi udało się teraz wstać i rozwalić Korbiemu pysk.

– Bo jeśli to inne przykazanie – powiedział Korbi – to niby coś zmienia, twoim zdaniem? I z tego powodu zdejmę twojemu pierdolonemu bratu nogę z gardła? – ponownie pochylił się do przodu.

– Nie – powiedziałem. – To znaczy, nie dlatego. Ale zejź z niego, bo go dusisz. Nie widzisz, że on się dusi?

Korbi zdjął nogę z szyi brata i podszedł do mnie.

– Powiedz, Gold, jesteś dobrym uczniem, nie? Przynajmniej masz głębę dobrego ucznia.

– Tak sobie – wymamrotałem.

– Nie mów „tak sobie” – powiedział Korbi i trzepnął mnie wierzchem dłoni po twarzy. Odrzuciłem głowę do tyłu. – Jesteś kurewsko dobrym uczniem.

Za jego plecami widziałem, jak Miron próbuje wstać.

– No to weź powiedz mi, Gold – Korbi pochylił się i podniósł z ziemi swój drag – weź ty mi powiedz, jaka była kara zapisana w Biblii dla tego, kto złamał przykazanie?

Zamilkłem. Korbi zaczął podrzucać w rękę drag.

– No, Gold – wykrzywił usta – powiedz mi, niech się czegoś dowiem, bo sam jestem durny i nie taki dobry w nauce jak ty.

– Nie wiem – powiedziałem. – Jak Boga Kocham. Nie wiem. Uczyli nas przykazań i tyle. Nie mówili nam nic o karach.

Korbi odwrócił się do mojego brata, leżącego na asfalcie, i kopnął go w żebra. Nie ze złością, spokojnie, tak jak ktoś znudzony kopie puszkę po coli. Miron wydał z siebie cichy dźwięk, jakby nie miał już nawet siły krzyknąć. Zacząłem płakać.

– No, naprawdę, Gold, nie becz – poprosił Korbi. – Odpowiedz tylko na pytanie.

– Nie wiem, kurwa – płakałem – nie wiem, jaka jest kara za twoje zajebane przykazania. Tylko daj mi spokój, ty gnoju, daj mi spokój.

Krotoczyński jednym łapskiem wykręcił mi rękę do tyłu, a drugim walnął mnie po głowie.

– To za to, co gadałeś o Biblii – syknął. – A to – walnął mnie jeszcze raz – to za to, co gadałeś o Natanie.

– Zostaw go, Kroto, zostaw – westchnął Korbi – on i tak pęka za brata. Proszę, powiedz mi – ciągnął zduszonym głosem, podrzucając drag w powietrze – proszę, powiedz, bo przecwele twojego brata kolaniem.

– Korbi, nie – płakałem – proszę, nie.

– No to mów – powiedział Korbi, trzymając drag w górze – no mów, co Bóg kazał zrobić takiemu, który kradnie komuś dziewczynę.

– Śmierć – wyszeptałem – kto złamie to przykazanie, należy mu się śmierć.

Korbi zamachnął się drągiem i rzucił nim z całej siły. Drag wpadł do sztucznego jeziorka.

– Słyszałeś, Kroto? – spytał Korbi. – Słyszałeś małego Golda? Należy mu się śmierć. I – wskazał na niebo – to nie ja powiedziałem, to Bóg.

Było coś takiego w jego głosie, jakby i on miał się rozplakać.

– Chodź – powiedział – spadamy. Chciałem tylko, żebyś usłyszał, jak mały Gold mówi, kto ma rację.

Krotoczyński puścił mnie i poszli sobie obaj. Zanim poszli, Korbi przesunął mi jeszcze po twarzy wierzchem swojej ciepłej ręki.

– Jesteś w porządku, mały – powiedział do mnie – jesteś całkiem w porządku.

Na parkingu koło parku znalazłem kogoś, kto nas zabrał na pogotowie. Biorąc pod uwagę, jak to wyglądało, Miron wyszedł z tej historii zupełnie nieźle. Z kołnierzem ortopedycznym na dwa miesiące i paroma siniakami. Korbi nie zbliżał się więcej ani do mojego brata, ani do Mariny. A oni byli parą przez ponad rok, a potem się rozstali. Pewnego razu, kiedy jeszcze byli ze sobą, pojechaliśmy całą rodziną nad Genezaret. Siedzieliśmy z bratem nad brzegiem i patrzyliśmy na Marinę, bawiącą się w wodzie z naszą starszą siostrą. Patrzyliśmy, jak rozpryskuje wodę opalonymi nogami, jak jej długie włosy opadają do przodu, prawie całkiem zasłaniając doskonale piękną twarz. Kiedy tak na nią patrzyliśmy, przypomniałem sobie nagle Korbiego, jak prawie płakał. Spytałem brata o ten wieczór, kiedy nas złapali w parku, spytałem, czy go jeszcze pamięta. A brat powiedział, że tak. Pomilczeliśmy jeszcze trochę i patrzyliśmy na Marinę w wodzie. Wtedy dodał, że bardzo dużo o nim myśli.

– Powiedz – spytałem – czy teraz, kiedy ona jest z tobą, uważasz, że to, co się stało wtedy w parku, było tego warte?

Siostra odwróciła się teraz plecami i zasłaniała rękami głowę, ale Marina nie przestawała krzyczeć i pryskać na nią wodą.

– Ta noc w parku – powiedział brat kręcąc głową powolnym ruchem – nie ma takiej rzeczy na świecie, która by była warta tej nocy.

GOLENIE CZYSZCZENIE

Powiedziała mu, że wygląda dużo ładniej, jak jest ogolony, więc specjalnie dla niej się ogolił. Kiedy przyszedł ją zabrać wieczorem, skóra na jego twarzy była taka gładka, że aż błyszczała i też pachniał dobrze after shavem. Obejrzelili film, wypili gdzieś kawę i odwiózł ją do domu. To było wszystkiego drugie spotkanie, więc niczego nie próbował, nawet nie namawiał, żeby go zaprosiła do siebie do mieszkania. A ona, zanim wysiadła z samochodu, pocałowała go delikatnie w zaróżowiony policzek. Uśmiechnął się wstydliwie i oddał jej pocałunek.

Była dziewczyną, na którą warto było cierpliwie poczekać.

Minie dzień, minie jeszcze dzień i w końcu to przyjdzie. Film, kawa, jeszcze jeden film. Jeden zachód słońca, dwa razy kręgle i w końcu będzie jego.

Powiedziała, że przyjemniej, kiedy jest ogolony; szczecina po prostu drapie jej ciało. A teraz, kiedy są razem, gdzie wtuli twarz, jeśli nie w jej ciało? Nie umiał nawet pomyśleć o jakimś lepszym miejscu. Golił się dzień w dzień, nawet dwa razy dziennie. Zdierał szczecinę, jeszcze zanim zdążyła wyrosnąć, pozwalając podrażnionej skórze płonąć gorącym rumieńcem. Także zęby czyścił bezustannie: trzy razy, cztery, pięć. Podnosił i opuszczał szczoteczkę, pluł do zlewu i płukał wodą, żeby nie zostawić białego osadu z pasty. Czuł się po tym dużo przyjemniej, bardziej estetycznie i raz na tydzień przeciągał między zębami nitkę. Ona całowała go i bez tego, bo kochała, ale nie można było oczekiwać, że włoży język w miejsce brzydko pachnące i brudne.

Powiedziała, że brwi też przeszkadzają; trudno tak gładzić wargami zakrzywienie czaszki i całować oczy. To przecież to samo ostrze i skoro już i tak się goli, to co mu za różnica? Raz dziennie, dwa razy, czasem nawet trzy. I nawet nitkę dentystyczną przeciągał trochę częściej, kupił całą rolkę, nie większą od paczki papierosów, ale mieściło się na niej siedemnaście metrów. Zwinęli ją tak ciasno jak śpiwory, które można zrolować do rozmiarów bagietki. Przy tej samej okazji kupił after shave w litrowej butelce, bo stary już się skończył.

Minęło dużo czasu, już dwa miesiące mieszkali razem; on dbał tylko o higienę osobistą, a ona o całą resztę. Nie prosiła nawet, żeby umył szklankę. Na piersiach i niżej nie musiała nawet prosić, skapował po

spojrzeniu. Jeśli już i tak goli się przed każdym posiłkiem, a nawet częściej, to może od razu wszystko. Nawet rzęsy, które łaskoczą w język kogoś, kto kocha, kocha go gładkiego, bez kantów i szpiców. Jak wszystkich innych, których znalazł na podłodze w salonie, strasznie przyjemnych i wygodnych. Najpierw myślał, że to różowe pufy, przecież wielokrotnie widział, jak siadała na nich, szczęśliwa, on sam także siadał. To było takie miłe i gładkie. Jak oni to robią? Zapytał i zdradzili mu wszystko. Szpice biorą się z kości. Jest taki jeden w Rosz-Pinie, który wyjmuje je z łatwością, łącznie z czaszką i kręgosłupem. To nawet nie boli, a jej będzie dużo przyjemniej, a to w końcu jest przecież najważniejsze. Jej uśmiech, gdy przysiada na nim, wart jest wszystkiego.

PECHERZYKI

W nocy, kiedy żona już zasnęła, schodził do samochodu i liczył pęcherzyki na przedniej szybie. W radiu, które miał w samochodzie, ciągle zadawali zagadki, a ludzie na nie odpowiadali i wygrywali nagrody. Raz chińskie jedzenie, raz komplet kosmetyków, ładne nagrody. A on się przysłuchiwał, liczył pęcherzyki na szybie i na nic nie udawało mu się odpowiedzieć. W duszy układał już skargę na firmę Peugeot.

Kiedy był młody, w zagadkach akurat był niezły. Bywały wtedy inne programy i często do nich dzwonił. Wszystko umiał rozwiązać, ale najczęściej było zajęte. Nie mógł zrozumieć, dlaczego kiedyś znał rozwiązania wszystkich zagadek, a dzisiaj – nic. Nie wiedział, że ma w środku w głowie małe ślimaki, które wypijają mu stale mózg przez słomkę. Nikt nie wiedział. Złapał to, kiedy jeszcze był w wojsku, podczas jednego z kursów edukacyjnych, przez wodę z saturatora w Domu Feldmana. Z tego saturatora piło jeszcze co najmniej z tysiąc osób i pewnie też mieli ślimaki. Nikt nie zauważył, to jedna z tych rzeczy, które nikomu nie przychodzą do głowy: nie boli, nie daje żadnych symptomów, ot, po prostu znudzone ślimaki wypijają ci mózg.

Jest jeszcze mnóstwo rzeczy w tym stylu, najróżniejsze rodzaje niewykrytych chorób. Jego żona na przykład cierpi na pajaka Makramy, co jest dużo bardziej rozpowszechnione od ślimaków i też dużo bardziej zaraźliwe. Przenosi się przez prospekty, sadowi w duszy i ciasno, ciasno ją krępuje. W każdym miejscu, gdzie było kiedyś przywiązane uczucie, urywa je i zastępuje koralikiem. Dusza jego żony wyglądała jak głowa Boba Marleya i żona nie czuła już nic, kompletnie nic, a płakać mogła tylko z powodu tego, co oglądała w telewizji. I nikt nic nie zrobił. Lekarze byli zbyt zajęci łapaniem jej wciąż zanikającego wapnia i nie mieli czasu na głupstwa, ona nie robi się przecież od tego sina albo coś w tym rodzaju, i nie będzie miała guzów na piersiach, po prostu trochę mniej płacze. Jej mąż nawet uważał, że to ładnie, że płacze tylko przy telewizji, bo rzeczy, które tam pokazują, nie są naprawdę, więc to nie może za bardzo zaszkodzić. Nie tak, jak pęcherzyki na szybie, co to jedziesz sobie i nagle, trach! Całe okno może ci wybuchnąć w twarz. Naliczył już pięćset siedemdziesiąt cztery i co dzień pojawiały się nowe. W radiu była teraz tak głośna muzyka, że nie dało się słyszeć bekania ślimaków. Jak dojdzie do sześciuset, pomyślał, złoży na nich tę skargę.

ŻEBY ZDECHLI

Na święta Chanuka rodzice wysłali mnie na tygodniowy obóz. Już od pierwszej chwili znienawidziłem to miejsce, cały czas chciało mi się tylko płakać. Inne dzieci były cały czas zadowolone, a ja nie mogłem zrozumieć dlaczego, tylko jeszcze bardziej chciało mi się płakać. Cały dzień kręciłem się między różnymi zajęciami i basenem z zaciśniętymi zębami, nie mówiąc ani słowa, żeby dzieci nie usłyszały łez w moim głosie i nie zaczęły na mnie napadać.

W nocy, po zgaszeniu światła odczekałem parę minut, a potem pobiegłem do automatu koło jadalni. Na dworze padał deszcz, a ja biegłem boso przez kałuże, w samym tylko dresie, z zimna aż otworzyły mi się usta i z gardła wydobyło się jakieś skomlenie, jakby zupełnie nie mój głos. Strasznie mnie to przestraszyło. Zadzwoiłem do domu i odpowiedział tata. Przez całą drogę do telefonu miałem nadzieję, że to będzie mama, ale teraz, z tym całym zimnem, deszczem i skomleniem, co wyrывało się z gardła, już mi było wszystko jedno. Powiedziałem, żeby przyjechali mnie zabrać i wtedy dopiero zacząłem naprawdę płakać. Trochę się gniewał, zapytał ze dwa razy, co się stało, i potem dał mi mamę. Ciagle płakałem, nie mogłem nawet słowa powiedzieć.

– Już jedziemy cię zabrać – powiedziała mama. Słyszałem tate mruczącego coś i mamę odpowiadającą mu z gniewem po polsku. – Słyszysz, Daneczku? – powiedziała znowu. – Jedziemy cię zabrać, czekaj na nas w swoim pokoju. Na dworze jest zimno, a ty kaszlesz. Czekaj w pokoju, już my cię znajdziemy.

Odwiesiłem słuchawkę i pobiegłem do bramy. Usiadłem na brzegu chodnika i czekałem aż przyjadą. Wiedziałem, że zabierze im to ponad godzinę. Nie miałem zegarka, więc próbowałem sam liczyć na różne sposoby. Było mi zimno i gorąco jednocześnie, a oni nie przyjechali. Według mnie minęły już ponad dwa lata i słońce zaczęło świecić, a oni nie przyjechali. Kłamcy. Powiedzieli, że przyjadą. Kłamcy, skurwysyny, żeby tak zdechli! Ciagle płakałem, choć nie miałem już siły. W końcu znalazła mnie jedna z wychowawczyń i zabrała do gabinetu pielęgniarek. Kazali mi połknąć pigułkę, a ja nie chciałem z nikim rozmawiać.

W południe przyszła jedna w okularach i szeptała coś siostrze do ucha. Siostra położyła sobie rękę na czole i szepnęła do tamtej głośno:

– Biedny mały, widocznie to przeczuł.

Okularnica jeszcze coś siostrze odpowiedziała, a siostra znowu powiedziała głośno:

– Żeby pani wiedziała, pani Belu, że jestem osobą wykształconą, a nie jakimś prymitywem ze wsi, ale są rzeczy, których nawet nauka nie jest w stanie wytłumaczyć.

Potem przyszedł mój starszy brat, Alik. Stał jakiś taki pochylony w drzwiach pokoju i cały czas próbował się uśmiechać. Powiedział kilka słów do siostry, a potem wziął mnie za rękę i ruszyliśmy w stronę parkingu. Nie chciał nawet, żebyśmy poszli do pokoju po moje rzeczy.

– Mama i tata obiecali, że przyjadą mnie zabrać – powiedziałem na wpół płacząc.

– Wiem – odpowiedział w ogóle na mnie nie patrząc – wiem.

– Ale nie przyjechali! – zacząłem płakać. – Całą noc czekałem na nich na deszczu. Kłamcy, skurwysyny. Żeby tak zdechli!

I wtedy odwrócił się do mnie i nagle dał mi w twarz. To nie był taki policzek, jaki daje się dziecku, żeby się zamknęło. To było z całej siły. Poczulem, jak nogi odrywają mi się od ziemi, uniosłem się trochę w powietrzu i upadłem. Byłem bardzo zaskoczony. Alik był z tych braci, co cię uczą grać w piłkę, a nie z tych, co tłuką. Podniosłem się z asfaltu. Bolało mnie całe ciało, a w ustach czułem słony smak krwi. Nie płakałem, chociaż szczęka strasznie mnie bolała. Ale nagle Alik zaczął.

– Kurwa – powiedział – kurwa, nie wiem w ogóle co mam robić! – Usiadł koło mnie na asfalcie i zaczął płakać. Potem się trochę uspokoił i wróciliśmy jego samochodem do Tel Awiwu. Całą drogę milczał. Dotarliśmy do jego mieszkania. Wszedł właśnie z wojska i wynajął mieszkanie ze współlokatorem.

– Twoja mama – powiedział. – To znaczy nasza mama...

Milczeliśmy chwilę.

– Mama i tata, wiesz... – spróbował jeszcze raz i przerwał. Obaj mieliśmy dosyć. Byłem już porządnie głodny, od rana nic nie jadłem, więc poszliśmy do kuchni i zrobił mi jajecznicę.

MÓJ BRAT MA DEPRESJĘ

To nie jakiś pierwszy z brzegu facet mówi, że ma depresję. To mój brat, i on chce popełnić samobójstwo. A ze wszystkich ludzi na świecie wybrał właśnie mnie, żeby to opowiedzieć. Bo mnie najbardziej kocha, i ja jego. Tak to wygląda. To nie byle co.

Ja i mój młodszy brat stoimy razem na skwerku przy Shenkin, a mój pies, Hendrix, ciągnie z całej siły za smycz i próbuje ugryźć w twarz jakiegoś dzieciaka w pa jacy ku. A ja jedną ręką walczę z Hendrixem, a drugą szukam po kieszeniach zapalniczki.

– Nie rób tego – mówię do brata. Zapalniczki nie ma w żadnej kieszeni.

– Dlaczego nie? – pyta mój mały braciszek. – Dziewczyna mnie rzuciła dla strażaka, nauki na uniwersytecie nienawidzę, proszę cię – masz tu ogień. A moi rodzice to najbardziej żałośni ludzie na świecie – rzuca mi swoją jednorazówkę. Łapię. Hendrix ucieka. Rzuca się na malca w pajacyku, przewraca go na trawnik i zamyka swoją szczękę rottweilera na twarzy dziecka. Obaj z bratem próbujemy ściągnąć Hendrixa z dziecka, ale on się zapiera. Matka pajacyka wrzeszczy. Sam bachor niepokojąco milczy. Kopię Hendrixa z całej siły, ale on ani drgnie. Brat znajduje na trawie żelazny drag i przywala mu po łbie. Słychać straszny trzask czegoś pękającego i Hendrix pada. Matka wrzeszczy. Hendrbc wygryza dziecku nos, ale to kompletnie. I kona. Mój brat go zabił. A poza tym ciągle jeszcze chce popełnić samobójstwo, bo najbardziej upokarzające wydaje mu się, że dziewczyna zdradziła go ze strażakiem. Dla mnie akurat strażak brzmi szacownie, ratuje ludzi i w ogóle. Ale z jego punktu widzenia byłoby lepiej, gdyby pierdoliła się z kubłem na śmieci. Teraz matka rzuca się na mnie. Próbuje długimi pazurami pomalowanymi wstrętnym białym lakierem wydrapać mi oczy. Mój brat podnosi w górę żelastwo i ją też wali po głowie. Wolno mu, ma depresję.

SZTUCZKA Z KAPELUSZEM

Na koniec pokazu wyciągam królika z kapelusza. Robię to zawsze na koniec, ponieważ dzieci bardzo lubią zwierzęta. Przynajmniej ja lubiłem, kiedy byłem dzieckiem. Tak można zakończyć pokaz w szczytowym momencie, kiedy przekazuję dzieciom królika, a one mogą go pogłaskać i dać mu coś do zjedzenia. Kiedyś rzeczywiście tak było; dzisiaj dzieci trochę mniej się wzruszają, ale tak czy inaczej królika zostawiam na koniec. To mój ulubiony trik, znaczy to był mój ulubiony trik. Oczywiście mam cały czas zwrócone w stronę publiczności, ręka sięga w głąb kapelusza, przeszukuje jego wnętrze, aż natrafia na uszy Kazama, mojego królika. I wtedy – „Abra Kazuś, abra Kazam!” – wyciągam go z rozmachem. Za każdym razem to zupełna niespodzianka, mniejsza o publiczność – dla mnie samego. Za każdym razem, kiedy moja ręka napotyka wewnątrz kapelusza te śmieszne uszy, czuję się jak czarodziej. Mimo że wiem, na czym to polega, kryjówka w stole itd., to jednak jest jak prawdziwa magia.

Także tej soboty na osiedlu Lamed zostawiłem trik z kapeluszem na koniec. Dzieci w te urodziny były jakoś strasznie obojętne. Niektóre siedziały do mnie plecami i oglądały na kablówce film ze Schwarzeneggerem. Bohater wieczoru był w ogóle w innym pokoju i grał w jakąś grę na wideo, które właśnie dostał. Moja publiczność skurczyła się do jakiejś czwórki dzieci. To był wyjątkowo upalny dzień, byłem cały mokry pod marynarką, chciałem już tylko skończyć i iść do domu. Pomiąłem trzy sztuczki ze sznurami i przeszedłem prosto do kapelusza. Ręka zanurzona głęboko w jego wnętrzu, wzrok zatopiony w oczach grubej dziewczynki w okularach. Miłe dotknięcie uszu Kazama zaskoczyło jak zawsze: „Abra Kazuś, abra Kazam!”. Jeszcze chwila w gabinecie ojca i wymknę się stąd z czekiem na trzysta szekli. Pociągnąłem Kazama za uszy i coś z nim było ciut inaczej, jakby lżej. Ręka uniosła się w powietrze, oczy nadal utkwione w publiczność. I wtedy – nagle ta wilgoć na przegubie dłoni i grubaska w okularach zaczyna wrzeszczeć. W prawej ręce trzymałem głowę Kazama z długimi uszami i wytrzeszczonymi oczami królika. Tylko głowa, żadnego ciała. Głowa i mnóstwo, mnóstwo krwi. Grubaska nadal wrzeszczała. Dzieci, które siedziały do mnie plecami, odwróciły się od telewizora i zaczęły bić mi brawa. Z drugiego pokoju przyszedł chłopiec ze swoją nową grą wideo. Kiedy zobaczył odciętą głowę, zaczął gwizdać z zachwytem. Poczulem, jak obiad podchodzi mi do gardła.

Zwymiotowałem do magicznego kapelusza i wymiociny znikły. Dzieci dookoła skręcały się z radości.

W nocy po tym pokazie nie spałem. Sprawdzałem urządzenie dziesiątki razy. Nie udało mi się znaleźć żadnego wyjaśnienia tego, co się stało. Nie udało mi się również znaleźć ciała Kazama. Rano poszedłem do sklepu dla magików. Oni też nie mieli wytłumaczenia. Kupiłem królika. Sprzedawca próbował mnie przekonać do żółwia.

– Króliki są *passé* – powiedział. – Teraz idą tylko żółwie. Powiedz im, że to żółw Ninja, to pospadają z krzesel.

W każdym razie kupiłem królika. Jego też nazwałem Kazam. W domu, na sekretarce automatycznej czekało na mnie pięć wiadomości. Same propozycje pracy. Wszystkie od dzieci, które były na pokazie. W jednej z nich chłopiec upierał się nawet, żeby mu zostawić odciętą głowę, tak jak to zrobiłem na przyjęciu na osiedlu Lamed. Dopiero wtedy przypomniałem sobie, że nie zabrałem stamtąd głowy Kazama.

Mój następny pokaz był w środę. Urodziny dziesięciolatka z Ramat-Awiw Gimel. Podczas całego pokazu byłem zdenerwowany. Zdekoncentrowany. Pokiełbała mi się sztuczka z królowymi. Cały czas myślałem tylko o kapeluszu. W końcu doszło do tego: „Abra Kazuś, abra Kazam !”. Spojrzenie wbite w publiczność, ręka wewnątrz kapelusza. Nie udało mi się odnaleźć uszu, ale ciało ważyło dokładnie tyle, co trzeba. Było gładkie, ale ważyło tyle, co trzeba. I wtedy – znowu wrzask. Wrzask i bicie brawa. To nie królik był w garści, to był martwy noworodek.

Nie jestem już w stanie robić tej sztuczki. Kiedyś ją lubiłem, ale dzisiaj, kiedy tylko o niej myślę, trzęsą mi się ręce. Ciągłe myślę o tych strasznych rzeczach, które wyciągnę na zewnątrz, i o tych, które czekają na mnie w środku. Wczoraj śniło mi się, że wsadzam rękę i zamykają się na niej szczęki potwora. Trudno mi pojąć, jak miałem kiedyś odwagę wkładać rękę w takie ciemne miejsce. Jak miałem odwagę przymykać oczy, zasypiać.

W ogóle już nie występuję, ale też wcale mi nie zależy. Nie zarabiam pieniędzy, ale i to jest zupełnie w porządku. Czasem jeszcze wkładam marynarkę, ot tak sobie, w domu, albo sprawdzam tajemne miejsce ukryte w stole pod kapeluszem, ale to wszystko. Poza tym nie tykam się magii, poza tym nie robię kompletnie nic. Leżę tylko w łóżku i myślę o głowie królika i zwłokach niemowlęcia. Jakby były jakimś kluczem do rozwiązania zagadki. Jakby ktoś próbował coś mi powiedzieć. Że to nie są

dobre czasy dla królików ani dla noworodków. I nie najlepsze czasy dla iluzjonistów.

KROPLE

Moja dziewczyna mówi, że ktoś w Ameryce wynalazł lekarstwo na samotność. Usłyszała o tym wczoraj w ciekawostkach „Rozgłośni Wojskowej” i natychmiast wysłała ekspresem list do siostry, żeby jej kupiła skrzynkę tego i przysłała pocztą. W ciekawostkach powiedzieli, że na wschodnim wybrzeżu jest już dostępne na rynku, a w Nowym Jorku stało się hitem. Występuje w dwóch postaciach – w kroplach i aerozolu. Moja dziewczyna poprosiła o krople. Być może nie chce się czuć samotna, ale też nie chce nadwierać powłoki ozonowej.

Kroplami skrapiasz sobie ucho i po dwudziestu minutach przestajesz czuć się samotny. To działa chemicznie na jakąś część mózgu – wyjaśniali w radiu, ale moja dziewczyna nie zrozumiała. Ona niezupełnie jest Curie-Skłodowską, ta moja dziewczyna, ona nawet jest trochę głupia. Cały czas siedzi i myśli, że ja ją zdradzę albo porzucę, albo coś w tym rodzaju. Ale ja ją kocham, kocham ją jak wariat. Teraz, po powrocie z poczty, mówi, że może już przestać ze mną mieszkać. Bo krople za chwilę przyjdą i już nie boi się być sama.

Porzucić mnie, mówię, dla kropli? Dlaczego? Przecież ja ją kocham, kocham ją jak wariat. Idź, jeśli chcesz, mówię jej, ale żebyś wiedziała, że żadne śmierdzące krople do uszu nie będą cię kochać tak jak ja. Tylko że krople do uszu nigdy jej nie zdradzą. A ja – tak. Tak ona mówi i odchodzi.

Wynajęła teraz mieszkanie na dachu na Florentin i całymi dniami czeka na pocztę. Ja nie dostaję żadnej poczty, mam to w dupie, nie mam też przyjaciół za granicą, żeby mi coś przysyłali. Gdybym miał, dawno bym już do nich pojechał. Napilibyśmy się razem i opowiedziałbym im o moich kłopotach. Wyściskalibyśmy się, nie wstydziłbym się przy nich płakać i w ogóle. Moglibyśmy tak całe lata, mogłoby tak minąć całe nasze życie. Najzwyczajniej w świecie, lepiej niż z kroplami.

BUTY

Na Dzień Zagłady pojechaliśmy z nauczycielką Sarą do Domu Żydów z Wołynia i czułem się strasznie ważny. Wszystkie dzieci w klasie były z Iraku, tylko ja – nie, i mój kuzyn, i jeszcze taki jeden, Drukman, ale tylko ja miałem dziadka, który zginął w czasie Zagłady. Dom Wołynian był piękny i wspaniały, cały zrobiony z czarnego marmuru, jak u milionerów. Było w nim mnóstwo smutnych, czarno-białych zdjęć i spisy ludzi, krajów i zmarłych. Przeszliśmy parami między wszystkimi zdjęciami, a Pani powiedziała, żeby nie dotykać. Ale ja dotknąłem jednego na kartonie, na którym był chudy, blady mężczyzna z kanapką w ręku. Łzy spływały mu z policzków jak ciągłe linie namalowane na jezdni. A moja para, Orit Salma, powiedziała, że powie Pani, że dotknąłem. A ja jej powiedziałem, że jeśli o mnie chodzi, niech powie komu chce, nawet dyrektorze, nie zależy mi. To mój dziadek i będę dotykał tego, co mi się tylko spodoba.

Po zdjęciach wprowadzono nas do dużej sali i pokazano film o małych dzieciach ładowanych do transportu, które potem wszystkie zaduszono gazem. Później wszedł na scenę jeden chudy staruszek, który opowiedział, jakimi potworami byli naziści i jak mordowali, i jak on się na nich mścił, a jednego żołnierza nawet zadusił na śmierć własnymi rękami. Dżerbi, który siedział obok mnie, powiedział, że stary kłamie, i że tak jak on wygląda, to nie ma takiego żołnierza na świecie, który dałby mu się pokonać. Ale ja popatrzyłem staremu w oczy i uwierzyłem mu. Miał w oczach tyle złości, że wściekłość wszystkich chuliganów świata, rozwalających uliczne śmietniki – to pestka.

Wreszcie, kiedy stary skończył opowiadać, co robił w czasie Zagłady, powiedział, że wszystko co słyszeliśmy jest ważne nie tylko z powodu przeszłości, ale także z powodu tego, co dzieje się teraz. Bo Niemcy jeszcze żyją i mają jeszcze państwo. Stary powiedział, że nigdy im nie daruje i ma nadzieję, że my też nie, i żebyśmy, broń Boże, nigdy nie spróbowali odwiedzić ich kraju. Bo pięćdziesiąt lat temu, kiedy on ze swoimi rodzicami pojechał do Niemiec, też wszystko wyglądało strasznie przyjemnie, a skończyło się piekłem. Ludzie mają często krótką pamięć, powiedział, zwłaszcza do złych rzeczy. Wolą zapomnieć. Ale wy nie zapomnicie. Za każdym razem, kiedy zobaczycie Niemca, przypomnicie sobie, co wam opowiedziałem. Za każdym razem, kiedy zobaczycie niemiecki towar, nieważne czy to telewizor, bo większość fabryk telewizorów jest z Niemiec, czy coś innego, zawsze przypomnicie sobie, że

pod eleganckim opakowaniem kryją się części zrobione z kości, skóry i ciała zmarłych Żydów.

W drodze powrotnej Dźerbi jeszcze raz powiedział, że jeśli ten stary zadusił choćby ogórka to on, Dźerbi, jest łożyskiem kulkowym, a ja pomyślałem, że to właściwie nieźle, że mamy w domu krajową lodówkę, komu potrzebne kłopoty.

Tydzień później moi rodzice wrócili z zagranicy i przywieźli mi sportowe buty. Mój starszy brat powiedział mamie, że to właśnie chciałem i mama wybrała mi najlepsze. Uśmiechnęła się, kiedy dawała mi ten prezent, była pewna, że nie wiem, co jest w środku. Ale ja zaraz rozpoznałem znak Adidasa na torbie. Wyjąłem pudełko z butami z torby i podziękowałem. Pudełko było takie prostokątne jak trumna. A w środku leżały dwa buty, białe z trzema niebieskimi paskami i wytłoczonymi napisami „Adidas Rom” na każdym. Nie musiałem otwierać pudełka, żeby to wiedzieć.

– Chodź, włóż je – powiedziała mama i wyjęła z nich papiery. – Zobaczmy, czy pasują.

Cały czas się uśmiechała, w ogóle nie rozumiała, co się dzieje.

– To z Niemiec, wiesz? – powiedziałem i ścisnąłem jej rękę z całej siły.

– Pewnie, że wiem – uśmiechnęła się mama. – Adidas to najlepsza firma na świecie.

– Dziadek też był z Niemiec – próbowałem ją naprowadzić.

– Dziadek był z Polski – poprawiła mnie i posmutniała na chwilę. Ale zaraz jej to przeszło, założyła mi jeden but i zaczęła sznurować. Milczałem. Zrozumiałem, że już nic nie pomoże. Mama nie wiedziała, na jakim świecie żyje. Nigdy nie była w Domu Żydów z Wołynia. Nigdy jej nie wytłumaczyli. I dla niej buty to po prostu buty, a Niemcy to w ogóle Polska. Więc pozwoliłem jej sobie założyć i milczałem. Nie było żadnego sensu opowiadać i zasmucać ją jeszcze bardziej.

Jeszcze raz podziękowałem, pocałowałem ją w policzek i powiedziałem, że wychodzę trochę pograć.

– Ee!, tylko ostrożnie! – krzyknął tata z kanapy w salonie. – Nie zedrzyj ich od razu.

Znowu popatrzyłem na blade skórzane buty na moich nogach. Popatrzyłem na nie i przypomniałem sobie wszystko, co ten staruszek,

który dusił, kazał pamiętać. Dotknąłem jeszcze raz pasków na adidasach i przypomniał mi się dziadek z kartonu.

– Wygodne? – spytała mama.

– Pewnie, że wygodne – odpowiedział za mnie brat. – Te buty to nie jakiś tam Hamegaper, to dokładnie jak buty Kroiffa.

Podszedłem powolutku, na czubkach palców w stronę drzwi, starając się oszczędzić butom ciężaru. Tak ostrożnie doszedłem aż do Ogrodu Małp. Chłopcy z „Borochowa” zrobili trzy drużyny: Holandia, Argentyna i Brazylia. I akurat do Holandii brakowało im jednego gracza, więc zgodzili się mnie przyjąć, mimo że nigdy nie przyjmują nikogo, kto nie jest z „Borochowa”.

Na początku gry jeszcze pamiętałem, żeby uważać i nie kopać czubkiem, żeby dziadka nie bolało, ale po jakimś czasie zapomniałem, dokładnie tak, jak przewidział staruszek w Domu Wołynian, i nawet strzeliłem decydującego gola takim wolejem z powietrza. Przypomniałem sobie znowu dopiero po skończeniu gry i popatrzyłem na nie. Nagle zrobiły się strasznie wygodne i takie bardziej sprężynujące, dużo bardziej niż na to wyglądało, kiedy leżały w pudełku.

– Ale to był wolej, co? – przypomniałem dziadkowi w drodze do domu.
– Bramkarz w ogóle nie rozumiał, co się dzieje.

Dziadek nic nie powiedział, ale po chodzie mogłem poznać, że też był zadowolony.

MÓJ NAJLEPSZY PRZYJACIEL

Mój najlepszy przyjaciel obsikał mi w nocy drzwi. Mieszkam w wynajętym mieszkaniu na czwartym piętrze bez windy. Psy robią tak czasem, żeby zaznaczyć teren i odegnać inne samce. Ale on nie jest psem, on jest moim najlepszym przyjacielem. A poza tym, to nie był jego teren, to były drzwi mojego mieszkania.

Kilka minut wcześniej mój najlepszy przyjaciel czekał na autobus. Nie wiedział, co robić – powoli zaczynał mu doskwierać pęcherz. Próbował z nim walczyć, uprzytomnił sobie bowiem, że autobus może przyjechać w każdej chwili, tyle że uprzytamniał to sobie już od przeszło dwudziestu minut. I wtedy nagle przypomniało mu się, że ja, jego najlepszy przyjaciel, mieszkam zaledwie kilkaset metrów stamtąd, w wynajętym mieszkaniu przy Zamenhofa 14, czwarte piętro bez windy. Opuścił przystanek i zaczął iść w stronę mojego mieszkania. Dokładnie – nie iść, na wpół biec. A potem całkiem biec. Powstrzymywanie się z każdym krokiem stawało się coraz trudniejsze, aż nawet pomyślał, żeby wejść na jakieś podwórko i wysikać się tam na ścianę, drzewo czy butlę z gazem. Był już niecałe pięćdziesiąt metrów od mojego domu, kiedy ta myśl przyszła mu do głowy i wydała mu się nieco prostacka i znamionująca słabość. Można wiele złego powiedzieć o moim najlepszym przyjacielu, ale nie jest on typem słabym. Powłókł się z tym pomysłem jeszcze pięćdziesiąt metrów, po czym wszedł na czwarte piętro mojego domu, a z każdym stopniem jego pęcherz wydymał się jak balon, który zaraz pęknie.

Kiedy wreszcie udało mu się dotrzeć do mnie, zastukał do drzwi. Potem zadzwonił. I jeszcze raz zastukał. Mocno. Nie było mnie w domu. Właśnie teraz, kiedy tak mnie potrzebował, ja, jego najlepszy przyjaciel, wolałem pójść do jakiegoś pubu, siedzieć rozparty przy barze i przekonywać każdą wchodzącą dziewczynę, żeby poszła ze mną do łóżka. Mój najlepszy przyjaciel stał pod drzwiami zrezygnowany. Wierzył we mnie ślepo, a teraz już było za późno. Nie będzie się mógł powstrzymać przez te cztery piętra po drodze na dół. Jedyna rzecz, którą mógł zrobić, to zostawić mi, po wszystkim, „przepraszam” na pogniecionej kartce.

Dziewczyna, która tej samej nocy zgodziła się przyjść do mnie, rozmyśliła się, kiedy zobaczyła kałużę.

– Po pierwsze – powiedziała – to obrzydliwe. Ja przez to nie przejdę. Po drugie: nawet jeśli to wytrzesz, zapach jest już w całym domu. I po

trzecie – dorzuciła wykrzywiając lekko usta – jeśli twój najlepszy przyjaciel sika ci na drzwi, to coś to mówi.

A po krótkim milczeniu dodała:

– O tobie.

A po chwili:

– Nic dobrego.

Po czym poszła sobie. To ona właśnie opowiedziała mi, że psy znaczą w ten sposób teren. Kiedy to powiedziała, zrobiła małą pauzę po słowie „pies” i utkwiała we mnie wieloznaczne spojrzenie, spojrzenie, które zdawało się wyrokować, że jest spore podobieństwo między moim najlepszym przyjacielem a psem. Rzuciwszy to spojrzenie poszła. Przyniosłem z kuchennego balkonu ścierkę do podłogi i wiadro wody, i podczas sprzątania mruczałem „Wzgórze Oreża”. Byłem dumny z siebie, że udało mi się powstrzymać i nie dałem jej w dziób.

GAZA BLUES

Weisman miał ostry kaszel, jak ktoś chory na grypę, i całą drogę tylko charczał i spluwał w chusteczkę higieniczną.

– To papierosy – powiedział przepaszającym tonem – po prostu mnie zabijają.

Na przejściu granicznym Erez zaparkowaliśmy samochód przy stacji benzynowej. Czekala tam na nas taksówka na miejscowych numerach.

– Pamiętałeś, żeby zabrać formularze? – zapytał Weisman i charknął żółtą flegmą na asfalt. Kiwnąłem głową. – A upoważnienia? – pytał uparcie. Powiedziałem, że upoważnienia też.

Kierowcy nie musieliśmy nic mówić, sam wiedział, że ma nas zabrać prosto do biura Fadida. Był już koniec maja, ale ulice były zalane wodą, widać kłopoty z rurami.

– Pierdolona droga – poskarżył się kierowca – co trzy tygodnie wykończy turyści.

Zrozumiałem, że z góry już przygotowuje podwyżkę rachunku.

Weszliśmy do biura Fadida, a on uścisnął nam ręce,

– Poznajcie się – powiedział Weisman – to jest Niv, praktykant z naszego biura. Przyjechał się tu uczyć.

– Roztwieraj oczy, Niv – powiedział do mnie Fadid czystym hebrajskim – roztwieraj szeroko oczy i rozglądaj się dookoła, można się tu dużo nauczyć. – Wprowadził nas do swojego pokoju. – Ty usiądź tutaj – powiedział do Weismana i wskazał mu skórzany fotel za stołem do pisania – a to – wskazał na drewniany stołeczek w kącie pokoju – to krzesło dla tłumacza. Ja wrócę o drugiej, czujcie się jak u siebie w domu.

Usiadłem na skórzanej kanapie i na niskim stoliku przed nią ułożyłem formularze w pięciu różnych kupkach. Tymczasem przyszedł również tłumacz.

– Jest czterech klientów – powiedział. Nazywał się Masud, czy coś w tym rodzaju. – Dwóch – oczy, jeden – noga i jeden – jaja.

Podpisanie formularzy do każdej teczki plus wywiad powinno było zabrać, zgodnie z opisem Weismana, jakieś dwadzieścia minut, co znaczy,

że w ciągu góra półtorej godziny zaczęliśmy się zbierać do powrotu. Weisman przez tłumacza zadawał każdemu zwykle pytania i palił jednego papierosa za drugim. Ja dawałem im do podpisania druczki rezygnacji z zachowania tajemnicy lekarskiej i upoważnienia, i przez tegoż tłumacza wyjaśniałem, że w przypadku wygrania roszczenia pobieramy sumę wynoszącą od piętnastu do dwudziestu procent. Jedna z nich, jednooka, podpisała się kciukiem, jak na filmach. Zraniony w jądra zapytał po hebrajsku pod koniec rozmowy, czy w wyniku jego skargi tenz wywiadu wojskowego, który zmasakrował mu jaja, trafi do więzienia.

– Jo znać jemu imię i nie bać się bowiedzieć też przed sądem – powiedział. – Stiw, mać jego zajebana, go wołali.

Tłumacz skarcił go po arabsku za to, że mówi po hebrajsku.

– Jak chcesz z nimi sam rozmawiać – powiedział – to nie jestem potrzebny – mogę wyjść z pokoju.

Znam trochę arabski, uczyłem się w liceum.

Po godzinie i dziesięciu minutach byliśmy już w drodze powrotnej, w taksówce, która zabrała nas na przejście Erez. Fadid zapraszał nas na obiad, ale Weisman wyjaśnił mu, że się spieszymy. Weisman przez całą drogę nie przestawał kaszleć i pluć w chusteczki.

– Banie, to nie być dobrze – powiedział do niego kierowca. – Ban botrzebujesz doktor. Maż u mojej siostry doktor, mieszka tu blisko.

– Dziękuję, ze mną wszystko w porządku, jestem przyzwyczajony – Weisman próbował się do niego uśmiechnąć. – To wszystko z papierosów – powoli mnie wykańczają.

Przez większą część drogi nie rozmawialiśmy, myślałem o treningu koszykówki, na który miałem pójść o piątej.

– Przy trzech teczkach mamy szansę – powiedział Weisman – oprócz tego z jajami. Przez trzy lata, kiedy siedział w więzieniu po skończeniu śledztwa, nie ma wzmianki o zranieniu. Weż teraz udowodnij, że zrobili mu to trzy i pół roku temu.

– Ale przyjmiesz go, tak czy inaczej? – zapytałem.

– Tak – wycedził Weisman – nie powiedziałem, że go nie przyjmę, powiedziałem tylko, że nie ma szans.

Spróbował nastawić radio w samochodzie, ale były same trzaski. Później próbował coś nucić, ale po paru minutach znudziło mu się, zapalił

papierosa i znowu zaczął kaszleć. Po czym zapytał mnie ponownie, czy pamiętałem o zebraniu podpisów na wszystkim. Odpowiedziałem, że tak.

– Wiesz – powiedział nagle – powinienem urodzić się Murzynem. Za każdym razem, kiedy stąd wracam, powtarzam sobie – „Weisman, powinieneś urodzić się Murzynem”. Nie tutaj, gdzieś daleko, może w Nowym Orleanie. – Otworzył okno i wyrzucił papierosa. – Billy, takie powinno być moje imię, Billy Weisman, to dobre imię dla śpiewaka. – Odcharknął z głębi gardła, jakby zamierzał coś zaśpiewać, ale tak jakoś wciągnął powietrze w płuca, że wyszła z tego seria kaszlnięć i rzężeń.

– Ty widzisz to? – powiedział, kiedy skończył i podsunął mi pod nos zużyta chusteczkę, w którą się wykaszlał. – To ja skomponowałem, mocne, co? „Billy Weisman i Melancholijni Chłopcy”, tak by się nazywał mój zespół. Śpiewalibyśmy tylko bluesa.

JESZCZE JEDNA OPCJA

Nagle otworzyła jej się jeszcze jedna opcja. Opcja, która niby zawsze istniała, ale, przynajmniej dla niej, nie była osiągalna. Pamiętała świetnie, jak przed zaledwie sześcioma miesiącami zerknęła z balkonu na dół. I to, co sparaliżowało jej szyję, wymamrotało przez gardło: „Nie rozumiem, jak ludzie sobie to robią”. Po prostu nie rozumie. Ale teraz akurat tak. Nie, żeby musiała to robić, ale ta opcja istnieje. Jak prawo jazdy, jak wiza do Stanów, coś, z czego można skorzystać, i można też nie.

Kiedyś nie robiłaby tego facetom. „Obciąga”, „ciągnie druta”, „połyka”, „ciućka”, ciekawe, jak obrzydliwie mogą brzmieć wszystkie nazwy, które na to wynaleziono. Może z powodu tych nazw się brzydziła. Ale teraz już nie. Choć też nie znajdowała w tym wielkiej przyjemności. Tyle że mogła to zrobić, kiedy uważała, że tak trzeba. Jeszcze jedna opcja.

Więc leżą razem w łóżku i ona ma w ustach ten smak, który jest później. Taki słono-ciągący. Coś między obwarzankiem a rybą. On wciąga ją na siebie w stałym rytuale. Całuje ją w usta. Zęby też poczuć ten smak. Jakby na dowód, że to nie jest obrzydliwe.

– O czym myślisz? – pyta.

Ona się uśmiecha, myśli o opcji.

– O niczym – odpowiada – o niczym.

Ciekawe, czy po tym naprawdę nic, czy też jest coś. Intuicja mówi jej, że nic. Bo jeśli teraz, kiedy wszystko się rusza – raczej nic, to prawdopodobnie również potem. Ale niekoniecznie. Nic nie jest koniecznie. Mamy wolny wybór. Nic albo coś. Wszystkie opcje są przed nami.

Mówią, że jest zdolna, ale co ja mogę wiedzieć. Płacze jej się coś w duszy i to jest jak opuszczone mieszkanie, jak dom, w którym rodzice zsunęli wszystkie meble w ką, bo syn robi imprezę. W rysunku, mówią, i w pisaniu. Twórcza, ale dziwna i cicha. A ja mówię: weź i ją zrozum. Nic tu nie jest jasne. Przez nią czuję się winny.

Zawsze zadawałem sobie pytanie, co one myślą, kiedy to robią. Nie samobójstwo – seks oralny. To mi przeszkadzało. Wydawało mi się zawsze, że one myślą, że to żeby je zbrzydzić, upokorzyć. Miałem nadzieję, że jeśli kiedyś uda mi się wejść do jej głowy, wszystko będzie inaczej, przyjdzie jakieś zrozumienie. Ale chuj z tym inaczej, nie po to zostałem pisarzem.

Ona patrzy z balkonu w górę. Niebo. Kraty i niebo. Mgliste – jej myśli. Wszystko to kicz. W końcu umrze, nawet jeśli mówią o niej, że zdolna. Obciągnie mi i umrze. Umrze i obciągnie mi. W imię wolności wyboru. W imię ruchu wyzwolenia kobiet i prawa grawitacji. A ja będę mógł wielkim skokiem zamknąć klamrę, co uwydatni wszystkie moje zdolności narracyjne. I będę mógł też nie.

BUFFALO

Mam przyjaciela, który jest prawie myśliwym. To znaczy ma broń myśliwską, amunicję i w ogóle, i często się kręci po okolicach, gdzie są zwierzęta, tyle że do niczego nie strzela.

– Czasem – mówi mi – mogę tropić jakiegoś jelenia czy lisa całe godziny, a nawet dni. W ostatniej fazie, kiedy go doganiam, przybliżam się do niego pod wiatr, żeby mnie nie wyczuł. Przyklękam na kolanie, przyciskam policzek do kolby, zwalням spust, celuję i... to wszystko. Nie muszę strzelać, żeby wiedzieć, że mógłbym – mówi. – Po prostu wstaje potem i odchodzę. To, moim zdaniem, staje się prawdziwym sportem, zamiast zwykłej rzeźni.

Dziwny facet z tego mojego przyjaciela, niech skonam, jeśli go rozumiem. Jego wielkim marzeniem jest pojechać do Stanów Zjednoczonych i zasadzić się na stado bizonów. Leżeć tak, spokojnie, na stanowisku ze specjalną bronią na bawoły, skierować ją na jedną sztukę ze stada i powiedzieć „jesteś mój”, a potem na jeszcze jedną i jeszcze jedną. Po prostu we własnej głowie usunąć ten gatunek z powierzchni ziemi. Opowiadam wam to dlatego, że wczoraj, kiedy pojechałem z moją dziewczyną do Jad Eljahu obejrzeć derby, usiadł obok mnie jakiś nieogolony facet, który wyglądał tak, jak mógłby wyglądać palestyński Arab, gdyby urodził się aszkenazyjczykiem. Facet cały czas przyglądał się ludziom dookoła i coś mamrotał. Dopiero kiedy zobaczyłem lufę pistoletu wystającą mu z kieszeni kurtki, zrozumiałem, co mówi. On po prostu celował ze swoich sześciu milimetrów do różnych ludzi, zwalнял spust i mówił cicho do siebie „już nie żyjesz, i ty też, i ty też”. Po kilku kulach, które dyskretnie wycelował także we mnie, udało mi się uśmiechnąć spokojnie i przypomnieć sobie przyjaciela z bizonami. „Jesteś mój” powiedział do siebie, zostawił mnie z moim krzywym uśmiechem i zrobił przerwę na wymianę magazynka. Ja też zrobiłem przerwę. Wziąłem głęboki oddech i dziwny chrapliwy dźwięk wyrwał mi się z gardła. To tylko sport, spróbowałem uspokoić samego siebie, to nikomu nie szkodzi. Ale w głębi serca byłem pewien, że jeśli spróbuje strzelać też do mojej dziewczyny, wstanę z mojego miejsca koło wyjścia i po prostu połamię mu wszystkie kości.

JĘZYK OBCY

Na pięćdziesiąte pierwsze urodziny kupiliśmy ojcu fajkę. Tata powiedział dziękuję, zjadł kawałek ciasta, które mama mu upiekła i wszystkich ucałował. Potem poszedł do łazienki ogolić się. Był fanatykiem golenia, z tych, co to wracają po trzy razy do każdego skrawka skóry i wychodzą z tej operacji zupełnie gładcy, bez najmniejszego zadrażnienia. W życiu nie widziałem, żeby tata choć raz się zaciał.

Są ludzie, którzy znają francuski albo włoski – różne języki, których nauczyli się korespondencyjnie lub na kursach w konsulatach. Mój starszy brat na przykład uczył się kiedyś niemieckiego w Instytucie Goethego. Nigdy nie wiesz, kiedy obcy język może się przydać. Nie tylko na wycieczce zagranicznej, czasem naprawdę może ci uratować życie. Na przykład moja mama w czasie Zagłady i język niemiecki – to po prostu doskonała ilustracja.

Kiedy tata ogolił już trzykrotnie każde miejsce na twarzy, zabrał się do karku. Maszynka do golenia nie była do tego przystosowana, więc połowę czasu trzeba było zmarnować na zdejmowanie z niej grubych włosków, które zapychały ostrza. Było to ciężkie, niewdzięczne zajęcie i tata bardzo chciał zawołać mnie do łazienki i opowiedzieć mi o tym. Chciał mi powiedzieć coś w tym rodzaju, że gdyby nie ożenił się z mamą, pojechałby z pewnością do Skandynawii i wybudował sobie chatę w jakimś zapomnianym przez Boga i ludzi lesie i siadywał wieczorami na ganku paląc fajkę.

Moja dziewczyna poprosiła kiedyś, żebym powiedział, że ją kocham w jakimś innym, egzotycznym języku. I choć się wyteżalem nie wiem ile, nie udało mi się nic sobie przypomnieć.

– Hebrajski nie jest wystarczająco dobry? – próbowałem. – A ka-je-ka-śli ka-po-ka-wiem ka-ci ka-do ka-ry-ka-mu? Albo dwa razy? A jeśli naprawdę będę myślał to, co powiem?

Ale to nie wystarczało, wcale się nie uspokoiła, tylko krzyczała i krzyczała – czasem potrafiła się tak zachowywać. W końcu rzuciła mi w głowę jakąś ciężką popielniczką ze znaczkiem firmowym towarzystwa ubezpieczeniowego i zaczęła mi lecieć krew z czoła. „Kochaj mnie, kochaj mnie” darła się. A ja z całej siły próbowałem sobie przypomnieć coś z tego,

czego uczyli mnie rosyjscy kumple w pracy, ale przychodziły mi do głowy same przekleństwa.

Kark tata ogolił pięć razy. Kiedy skończył, przejechał po nim ręką i przekonał się, że jest gładki co najmniej tak jak szyja i policzki. Tę chatkę w skandynawskim lesie chciał zbudować głównie z powodu ciszy. Mój tata bardzo lubił ciszę. Kiedy w okresie niemowlęcym płakaliśmy z bratem, tak mu to dokuczało, że czasami po prostu chciał nas udusić. Tata wyjął z szafki pod umywalką opakowanie specjalnego kleju i cienką drewnianą szpatułkę, taką jak od lodów. Zanurzył szpatułkę w puszcze z klejem i zaczął nim smarować kark. To było skomplikowane zadanie, nie mogłem bowiem zobaczyć smarowanej powierzchni, mniej więcej tak, jakby kromkę chleba smarować masłem od spodu. Ale tata się nie poddawał, smarował kark po kawałku, cierpliwie i z maksymalną dokładnością. W trakcie nucił sobie piosenkę po węgiersku, co brzmiało jakoś tak: „Ozo sep? Ozo sep? Okinki samet lep. Okinki, samet pakta”.

„Kto jest najpiękniejszy? Kto jest najpiękniejszy? Ten z czarnymi oczami. Ten jest najpiękniejszy”. Po historii z popielniczką porzuciła mnie. Do dziś nie rozumiem dlaczego. Ale nie zawsze trzeba rozumieć, żeby się czegoś nauczyć. Nauka rzecz ważna. Moja mama, na przykład, powiedziała niemieckiemu oficerowi, żeby jej nie zabijał. Opłaci mu się, bo jeśli jej nie zabije, ona pójdzie z nim dobrowolnie do łóżka. Co w tym okresie było dużo rzadsze niż gwałt. I w czasie, kiedy to robili, wyciągnęła zza paska nóż i rozpruła mu pierś, dokładnie tak jak piersi kurczakom, które faszeruje dla nas ryżem na szabat.

Tata zatkał wannę korkiem i odkręcił kran, tak żeby woda nie była zbyt gorąca, ale i nie letnia. Ciepła. Potem położył się na dnie i trzymając głowę w powietrzu spróbował ręką dosięgnąć kranu, nie unosząc zarazem pleców. Kran był zbyt wysoko. Tata rozluźnił mięśnie szyi i przylgnął karkiem do dna wanny. Spróbował teraz unieść głowę i chociaż użył całej siły, nie udało mu się. Ulotka dołączona do kleju obiecywała, że nie ma takiej ilości wody na świecie, która mogłaby rozpuścić ten klej. A ze względu na korek tata włożył buty. Wyobraźcie sobie wyciąganie korka z wanny w sznurowanych butach. W tym samym czasie, w moim pokoju, my z bratem klóciliśmy się zawzięcie. Ja mówiłem, że tacie bardzo podobał się prezent, a brat twierdził, że nie. Nie mogliśmy dojść do żadnej konkluzji, bo z tatą nigdy nie można wiedzieć na pewno. Gul, gul, gul bulgotała po skandynawsku woda w kranie nad wanną. „Nur Gott weiss” – popisował się brat swoim niemieckim – „Nur Gott weiss”.

BÓLE MIESIĄCZKOWE

Śniło mi się w nocy, że jestem czterdziestoletnią kobietą, a mój mąż jest pułkownikiem rezerwy. Mój mąż prowadził teraz świetlice w biednych dzielnicach. Układy z ludźmi miał gówniane. Pracownicy go nienawidzili, bo ciągle na nich krzyczał. Skarżyli się, że ich traktuje jak rekrutów.

Rano robiłam mu jajecznicę, wieczorem sznycel i ziemniaki puree. Jak miał dobry humor, mówił, że jedzenie jest świetne, naczyń nigdy po sobie nie sprzątał. Raz w miesiącu mniej więcej, w piątek, przynosił do domu zwędłe kwiaty, które sprzedawały mu rosyjskie dzieciaki na jakimś skrzyżowaniu, gdzie szczególnie długo czekało się na światłach.

Śniło mi się w nocy, że jestem czterdziestoletnią kobietą i mam bóle miesiączkowe, jest noc i nagle widzę, że skończyły mi się wszystkie tampony i próbuję obudzić męża, który jest pułkownikiem rezerwy, i powiedzieć mu, żeby podjechał do apteki albo przynajmniej podwiózł mnie, bo nie mam prawa jazdy, a nawet gdybym miała, to samochód jest jeszcze z wojska i nie wolno mi go prowadzić. Powiedziałam mu, że to pilne, ale odmówił. Coś tylko cały czas bełkotał przez sen i powiedział, że to gówno nie jedzenie i że jest nie do przyjęcia, żeby kucharze tydzień w tydzień dostawali przepustki, bo to wojsko, a nie kolonie letnie. Podłożyłam sobie złożone kilkakrotnie chusteczki higieniczne, próbowałam leżeć na plecach, nie oddychać i nie ruszać się, żeby nie przeciekło, ale wszystko mnie bolało, a krew wyciekała ze mnie bulgocąc, jak z pękniętej rury kanalizacyjnej. Spływała mi po biodrach, po nogach, pryskała na brzuch. Chusteczki zbiły się w jedną masę, klejącą się do włosów i skóry.

Śniło mi się w nocy, że jestem czterdziestoletnią kobietą i że brzydze się sama sobą, swoim życiem, tym, że nie mam prawa jazdy, że nie znam angielskiego, że nie byłam nigdy za granicą. Krew, która ciekła po mnie, zaczęła już krzepnąć i czułam, że to jest jak kłątwa, że ta miesiączka nigdy się nie skończy.

Śniło mi się w nocy, że jestem czterdziestoletnią kobietą, że zasypiam i śni mi się, że jestem dwudziestosiedmioletnim mężczyzną, którego żona kolejny raz zachodzi w ciążę, a on kończy medycynę i zmusza ją, żeby razem z córeczką pojechały z nim za granicę robić specjalizację. Cierpią tam strasznie. Nie znają słowa po angielsku, nie mają przyjaciół, na dworze zimno i śnieg. I wtedy, w jakąś sandej, zabieram je na piknik, rozkładam obrus na trawie, a one ustawiają na obrusie różne smakołyki.

Kiedy kończymy jeść, wyciągam z bagaży broń myśliwską i strzelam do nich jak do psów. Policja znajduje mnie w domu. Najlepsi śledczy policji stanu Illinois chcą mnie zrobić w to morderstwo. Wprowadzają mnie do pokoju, krzyczą na mnie, nie dają mi spać, nie pozwalają wyjść na siku, ale ja nie daję się złamać. A obok mnie w łóżku mój mąż ciągle krzyczy:

– No to powiedział – komandosi. No to co, że powiedział. A teraz ja tu jestem dowódcą.

STRASZNE DNI

Powiedziała mu to prosto w twarz, na schodach prowadzących z synagogi. Tuż po wyjściu, zanim jeszcze zdążył włożyć jarmułkę z powrotem do kieszeni. Uwolniła rękę z jego uścisku i powiedziała, że jest bydlakiem i żeby więcej się nie ośmielił tak do niej mówić ani wywlekać jej z domu jak jakiś przedmiot. I w dodatku powiedziała to na cały głos, ludzie mogli usłyszeć. Ludzie, którzy z nim pracują, a nawet rabin, ale to nie przeszkodziło jej podnieść głosu. Powinien był w tej samej chwili wymierzyć jej policzek i zrzucić ją ze wszystkich schodów. Ale on, jak idiota, czekał, aż przyjdą do domu. A kiedy ją stłukł, wyglądała na zdumioną, jak pies, którego biją za to, że nasrał na dywan wtedy, kiedy gównem zdążyło już całkiem wyschnąć. Dał jej parę razy po buzi, a ona krzyczała „Menachem, Menachem!”. Tak jakby ten, kto ją bije, był kimś obcym, a ona przywoływała właśnie jego, żeby przyszedł i ją wyratował. „Menachem, Menachem!”⁷. Skurczyła się w kącie – „Menachem, Menachem!” – a on kopnął ją w zębra.

Kiedy oddalił się od niej, żeby zapalić papierosa, zobaczył plamę krwi na swoich świątecznych butach, wkładanych tylko w Sądny Dzień, a kiedy znowu spojrzął na nią, zobaczył czerwony półksiężyc na sukience, którą kupił jej na święto. Księżyc szybko się wypełniał. Widocznie leciała jej krew z nosa. Wyciągnął krzesło z aneksu jadalnego i usiadł plecami do niej i twarzą do elektrycznego zegara. Mógł słyszeć, jak płacze tam, z tyłu, jak wzdycha próbując się podnieść i głuchy odgłos uderzenia, kiedy poślizgnęła się i upadła z powrotem w kącie. Wskazówki elektrycznego zegara przesuwają się z niebezpieczną szybkością, a on poluzował sobie sprzączkę od uciskającego paska, oderwał plecy od oparcia krzesła i pochylił się do przodu.

– Wybacz – usłyszał jej szept z kąta pokoju – wybacz, Menachem, ja naprawdę nie chciałam, przepraszam.

I on, i Pan Bóg wybaczyli jej, w momencie doprawdy doskonałym, tylko trzydzieści sekund przed wyznaczonym terminem.

JEDEN POCAŁUNEK W USTA W MOMBASIE

Przez chwilę byłem spięty, ale ona zaraz mnie uspokoiła, powiedziała, że nie ma powodu.

Wyjdzie za mnie, jeśli to ważne ze względu na rodziców i nawet co do sali – nie ma sprawy. Sprawa w ogóle była gdzie indziej: w Mombasie, dokąd pojechały z Leą trzy lata temu, na wycieczkę po wojsku. Pojechały tylko we dwie, bo chłopak, z którym wtedy była, przeszedł akurat do służby zawodowej – był jakimś technikiem w wojskach lotniczych. W Mombasie mieszkały cały czas w tym samym miejscu, w czymś w rodzaju schroniska pełnego młodzieży, w większości z Europy. Lea nie chciała stamtąd wyjeżdżać, ponieważ zakochała się właśnie w Niemcu, który mieszkał w jednym z baraczków. A jej też nie robiło to różnicy, zadowolona była ze spokoju. I mimo że w schronisku aż gęsto było od hormonów i narkotyków, nikt jej się nie naprzykrzał. Najwidoczniej zorientowali się, że chce być sama. Nikt, z wyjątkiem jakiegoś Holendra, który przyjechał jakiś dzień po nich i nie wyniósł się, dopóki ona nie wyjechała. Ale on też specjalnie się nie naprzykrzał, tylko ciągle na nią patrzył. Nie przeszkadzało jej to. Wyglądał w porządku, był trochę smutny, ale takim smutkiem, który niczego się nie domaga. Były w Mombasie trzy miesiące i nie usłyszała, żeby powiedział choć słowo. Poza jednym razem, na tydzień przed powrotem, ale i wtedy było coś tak delikatnego i niezasmucającego w tym, jak do niej mówił, że tak jakby nic nie powiedział. Wytłumaczyła mu, że to nie ma sensu, opowiedziała, że ma przyjaciela, który akurat ma stałą służbę, i o tym jak się poznali, jeszcze w liceum. Tylko się uśmiechnął, skinął głową i wrócił do swojego stałego kąta na schodach baraku. Więcej z nią nie rozmawiał, ale wciąż patrzył. Chociaż właściwie, teraz dopiero sobie przypomina, rozmawiał z nią jeszcze raz w dzień odlotu i w życiu nie słyszała czegoś tak śmiesznego. Coś w tym stylu, że między każdą parą ludzi na świecie jest pocałunek. To znaczy, próbował powiedzieć coś takiego o tym, że już trzy miesiące patrzy na nią i myśli o ich pocałunku, jak będzie smakował, jak długo potrwa i jak ona się będzie czuła. Że ona teraz jedzie, że ma chłopaka i w ogóle – on rozumie, ale tylko ten pocałunek, chciałby wiedzieć, czy ona się zgodzi. Strasznie to było śmieszne, jak on to mówił, taki zmieszany, może z powodu swojego angielskiego, a może po prostu nie był wielkim mówcą. Ale ona się zgodziła. I pocałowali się. A potem on naprawdę niczego nie próbował i wróciły z Leą do kraju. Ten jej chłopak wyszedł na lotnisko w mundurze i zabrał je

swoim renault. Zamieszkali razem i dla urozmaicenia wprowadzili do swojego życia seksualnego różne nowe elementy. Przywiązywali się nawzajem do łóżka, opryskiwali trochę mlekiem, a raz on nawet pieprzył ją od tyłu i to było piekielnie bolesne, a w trakcie zaczęło wychodzić gówno. W końcu się rozstali, a kiedy zaczęła studia, spotkała mnie. I teraz już niedługo się pobierzemy. Nie ma z tym żadnego problemu.

Powiedziała, żebym wybrał salę i datę, i co jeszcze chcę, bo jej to zupełnie nie robi różnicy. To w ogóle nie jest sprawa. I ten Holender też nie. Nie ma powodu być o niego zazdrosnym. On na pewno już umarł z przedawkowania albo po prostu leży sobie pijany na jakimś trotuarze w Amsterdamie, albo wziął się za robienie dyplomu z czegoś tam, co brzmi nawet jeszcze gorzej. W każdym razie, to w ogóle nie on, to ten czas spędzony w Mombasie. Trzy miesiące człowiek siedzi, patrzy na ciebie i wyobraża sobie pocałunek.

PUŚCI LUDZIE

Kiedy byłem dzieckiem, przychodzili do nas do domu różni ludzie i stukali do drzwi. Tata patrzył przez wizjer, ale nie otwierał. A oni stukali w drzwi, dziko stukali, i trochę się ich bałem. Ale tata zawsze podchodził do mnie i kładł się przy mnie na dywanie, opierając plecy o bok pianina.

„Nie bój się – szeptał – nie ma się czego bać, to w końcu tylko puści ludzie”. I szeptał mi dalej do ucha: „Szifman, otwórz drzwi, wiemy, że tam jesteś”, a ludzie po chwili powtarzali to, co tata powiedział, tylko głośno. Potem okrażali dom kilka razy, próbowali z zewnątrz otworzyć żaluzje i tata mruczał mi cicho do ucha, a oni powtarzali na zewnątrz jak echo. „Widzisz – tata szeptał dalej – nie ma się czego bać. To puści ludzie, bez ciała, bez niczego, ot, po prostu głosy/τ. A oni powtarzali za nim. Zawsze wracali, a my zawsze się chowaliśmy.

Mama umarła bezgłośnie, ale za to cielesnie, i poszliśmy ją pochować. Zabraliśmy ze sobą człowieka do lamentowania i tata pokazał mi w książce dokładnie jakie lamenty, bo ten człowiek też był z tamtych. Przez tydzień był spokój, a potem oni znowu przyszli. My nadal zwijaliśmy się w kłębek w kącie. Czasem tata mówił, co powiedzą, a czasem ja. Dziwiłem się w duchu, że kiedyś tak się bałem, a dzisiaj moje słowa wracały od nich niczym piłka tenisowa rzucona o ścianę. Ot tak, po prostu, ot tak. Tata też umarł tam, w kącie koło pianina, kiedy go przytulałem tak, jak on mnie przytulał, gdy jeszcze się bałem. Milczał, kiedy spuszczaaliśmy go do grobu i milczał, kiedy ten człowiek zanosił lamenty, które znałem z książki, i milczał, kiedy przykrywaliśmy go ziemią, I ja za nim milczałem, bo w końcu ja także, jak widać, byłem jednym z nich.

SZPRYCEREK Z PIEKŁA

Gdzieś w Uzbekistanie jest wioska, którą wybudowano akurat przy wejściu do piekła. Ziemia dla rolnictwa jest tam bardzo niedobra, kamieniolomy też nienadzwyczajne i te trochę pieniędzy, które ludziom wpadnie – to przeważnie z turystyki. Nie mam na myśli rozmaitych bogatych Amerykanów w hawajskich koszulkach czy uśmiechniętych Japończyków fotografujących wszystko, co się rusza. Bo też czegoż by oni mieli szukać w jakiejś zapadłej dziurze w Uzbekistanie. Turystyka, o której mówię, to turystyka wewnętrzna. Najbardziej wewnętrzna, jaka tylko może być.

Ludzie wychodzący z piekła bardzo się od siebie różnią, trudno znaleźć dla nich jeden wspólny mianownik. Grubi/chudzi, z wąsami/bez, bardzo różnorodna publiczność. Jeśli coś ich w ogóle łączy, to zachowanie. Wszyscy są tacy cisi, grzeczni. Zawsze skrupulatni, jeśli chodzi o pieniądze. Nigdy się nie targują. I zawsze dokładnie wiedzą, czego chcą, dylematy prawie tam nie występują. Wchodzą, pytają ile, proszę zapakować/nie pakować i tyle. Tacy goście na chwilę. Zostają jeden dzień i wracają do piekła. Nigdy nie zobaczysz dwa razy tego samego gościa, bo też wychodzą tylko raz na sto lat. Tak to już jest, reguła. Tak jak w okresie rekruckim przepustka jest raz na trzy tygodnie, jak na warcie – można usiąść na pięć minut co godzinę, tak mieszkańcom piekła należy się jeden dzień wolnego raz na sto lat. Jeśli miało to kiedyś jakieś uzasadnienie, dzisiaj nikt już go nie pamięta i to już teraz raczej takie status quo.

Anna pracowała w sklepie dziadka odkąd sięgała pamięcią. Oprócz mieszkańców wioski nie było zbyt wielu klientów, ale raz na parę godzin pojawiał się jakiś jeden śmierzdzący siarką, wchodził do środka i prosił o paczkę papierosów, czekoladę albo coś innego. Niektórzy z nich prosili o rzeczy, których najwidoczniej nigdy nie widzieli, o których tylko słyszeli od jakiejś grzesznej duszy. I tak widywała, jak mocowali się z puszką coli, próbowali zjeść żółty ser razem z plastikową folią – i tego typu rzeczy. Czasem próbowała z nimi rozmawiać, zaprzyjaźnić się, ale żaden z nich nie znał uzbeckiego, czy jak tam nazywa się język, którym mówiła. W końcu zawsze sprowadzało się to do tego, że wskazywała na siebie i mówiła „Anna”, a oni wskazywali na siebie i mamrotali jakoś Klaus czy So-Jung czy Nissim, płacili i zmywali się swoją drogą. Czasem widywała ich i później, wieczorem, jak kręcili się po ulicach lub przysiadali na jakimś chodniku i wpatrywali tępo w noc spadającą na nich zbyt nagle, a

następnego dnia zwykle ich już nie widywała. Dziadek, który cierpiał na taką chorobę, która nie pozwalała mu spać w nocy dłużej niż godzinę, opowiadał jej, że widuje ich nad ranem schodzących z powrotem do wejścia, znajdującego się tuż obok ich ganku. Z tego ganku widział jej ojca, niewąską kanałię, także schodzącego do wejścia, kompletnie pijanego i śpiewającego jakąś wyjątkowo ordynarną pieśń. Za dziewięćdziesiąt parę lat i on prawdopodobnie wróci na dzień.

To śmieszne, ale można powiedzieć, że ci ludzie to była najciekawsza rzecz w życiu Anny. Ich twarze, ich śmieszne ubrania, zgadywanie, co za straszną rzecz musieli popełnić, żeby znaleźć się w piekle. Bo prawdę mówiąc, poza tym rzeczywiście nic się nie działo. Kiedy nudziło jej się w sklepie, próbowała wyobrazić sobie następnego grzesznika, który stanie w drzwiach. Zawsze wyobrażała ich sobie jako bardzo pięknych albo bardzo śmiesznych. I raz na parę tygodni naprawdę mógł wejść jakiś boski przystojniak albo ktoś, kto usiłował zjeść puszkę konserw bez otwierania, i oboje z dziadkiem mogli o tym rozmawiać później jeszcze przez kilka dni.

Pewnego razu pojawił się chłopak tak piękny, że po prostu wiedziała, że musi z nim być. Chłopak kupił białe wino, wodę sodową i różne ostre przyprawy, a ona, zamiast go podliczyć, pociągnęła go za rękę do siebie do domu i on, nie rozumiejąc ani słowa, poszedł za nią i starał się, ile tylko mógł, a kiedy już dla obojga stało się jasne, że on po prostu nie może, Anna przytuliła go i uśmiechnęła się najpiękniej, jak umiała, żeby zrozumiał, że nie ma to większego znaczenia. Ale to nie pomogło i do samego rana nie przestawał płakać. Od chwili, kiedy odszedł, każdej nocy modliła się, żeby przyszedł jeszcze raz i żeby wszystko było dobrze. Więcej się modliła za niego, niż za siebie. Kiedy opowiedziała o tym dziadkowi, uśmiechnął się i powiedział, że ma dobre serce.

Dwa miesiące później wrócił. Wszedł do sklepu i kupił kanapkę z wędliną, a kiedy się do niego uśmiechnęła, też się uśmiechnął. Dziadek powiedział, że to nie może być ten sam, bo wiadomo, że oni wychodzą tylko raz na sto lat i to może być jakiś jego bliźniak, albo co, i ona też nie była pewna stuprocentowo. W każdym razie, jak poszli do łóżka, było akurat dobrze i on wyglądał na szczęśliwego, a ona także. I nagle zrozumiała, że być może jednak nie modliła się tylko za niego. On później wszedł do kuchni, znalazł torbę, która została od tamtego czasu, z wodą sodową, przyprawami i winem i przygotował dla nich obojga rodzaj musującego napoju, który był jednocześnie i ostry, i zimny, i zarazem był winem – taki szprycerek z piekła.

Pod koniec nocy, kiedy ubrał się do wyjścia, poprosiła go, żeby nie szedł, a on wzruszył ramionami, jak ktoś, kto nie ma wyboru. Kiedy poszedł, modliła się, żeby pojawił się po raz trzeci, jeśli to rzeczywiście był on, a jeśli nie, żeby pojawił się jakiś wystarczająco podobny, by mogła się znowu pomylić. Parę tygodni później, kiedy zaczęła mieć mdłości, modliła się, żeby to było dziecko, ale to był zwykły wirus. W tym właśnie czasie ludzie we wsi zaczęli mówić, że mają zlikwidować to wejście, zamknąć je od środka. Annę bardzo te pogłoski przstraszyły, ale dziadek powiedział, że to takie sobie plotki ludzi, co się nudzą.

– Nie masz się co martwić – uśmiechnął się do niej. – To wejście istnieje już tak długo, że żaden diabeł ani anioł w życiu nie ośmielił się go zamknąć.

Uwierzyła, tylko pewnej nocy, pamięta, poczuła tak nagle, i to nawet nie przez sen, że wejścia już nie ma, wybiegła na dwór w koszuli i ucieszyła się widząc, że jest, i wtedy, pamięta, była taka chwila, kiedy chciała wejść do środka. Poczowała jakby coś ją ciągnęło, miłość do tego chłopca albo tęsknota za ojcem, co był raczej łajdakiem, czy może, bardziej niż cokolwiek innego, to że nie chciała zostać sama na tej nudnej wsi. Przysunęła ucho do fali zimnego powietrza buchającego z wejścia. Z daleka usłyszała coś jakby głosy wrzeszczących ludzi, czy płynącej wody, nie można było właściwie rozróżnić czego. To dobiegało doprawdy z daleka. Wróciła w końcu do łóżka, a w kilka dni później wejście rzeczywiście znikło. Piekło nadal istniało tam pod spodem, ale nikt więcej nie wyszedł.

Od czasu zniknięcia wejścia trudniej było się utrzymać, było także bardziej męcząco i spokojnie. Wyszła za męża za syna właściciela sklepu rybnego i oba sklepy się połączyły. Urodziła kilkoro dzieci i lubiła snuć im opowieści, zwłaszcza o ludziach wydzielających zapach siarki, którzy niegdyś przychodzili do sklepu. Te opowiadania budziły w nich strach i zaczynały płakać. Ale ona mimo wszystko, nie rozumiejąc dlaczego, usiłowała opowiadać dalej.

HISTORIA O KIEROWCY AUTOBUSU, KTÓRY CHCIAŁ BYĆ PANEM BOGIEM

To jest opowiadanie o pewnym kierowcy autobusu, który nigdy nie chciał otwierać drzwi takim, co się spóźniali. Ten kierowca autobusu nie chciał otwierać drzwi nikomu. Ani zatrzymującym go licealistom, którzy biegli do skrzyżowania i wbijali w niego smutne spojrzenie, i z pewnością nie zdenerwowanym ludziom w waciakach, którzy z całej siły walili w drzwi, tak jakby w ogóle przyszli na czas i tylko on był nie w porządku, ani nawet staruszkom z brązowymi papierowymi torbami pełnymi zakupów, którzy machali na niego drżącą ręką. I to wcale nie ze złośliwości nie otwierał drzwi, ten kierowca nie miał w sobie nawet cienia złośliwości – powodem była ideologia. Ideologia kierowcy polegała na tym, że jeśli założymy, iż zwłoka spowodowana wpuszczeniem spóźnionego do autobusu wyniesie najwyżej pół minuty, a człowiek zostawiony na chodniku straci z tego powodu kwadrans ze swojego życia, to ciągle jeszcze jest uczciwiej wobec społeczeństwa nie otwierać drzwi, gdyż inaczej te pół minuty straci każdy pasażer autobusu. A jeśli w autobusie znajduje się, założmy, sześćdziesięciu ludzi, którzy w niczym nikomu nie zawinili i przyszli na swój przystanek o właściwej godzinie, wówczas wszyscy oni razem tracą pół godziny, co stanowi dwa razy więcej niż kwadrans. To była jedyna przyczyna, dla której nie otwierał nikomu drzwi. Zdawał sobie sprawę, że pasażerowie nie mieli o niej pojęcia, tak samo jak ci, którzy biegli za nim i dawali mu znaki, by otworzył. Wiedział też, że większość z nich ma go po prostu za skurwysyna i że jemu samemu byłoby o wiele, wiele łatwiej pozwolić im wejść i przyjmować potem uśmiechy i podziękowania. Tyle że wobec konieczności wyboru między podziękowaniami i uśmiechami a dobrem społecznym, kierowca nie miał najmniejszych wątpliwości, że pierwszeństwo ma społeczne dobro.

Człowiek, który miał najbardziej cierpieć przez tę ideologię kierowcy, nazywał się Adam, tyle że on, w przeciwieństwie do innych ludzi w tym opowiadaniu, nie próbował nawet biec za autobusem, a to z powodu rozpaczki i lenistwa. Ow Adam był pomocnikiem kucharza w barze restauracyjnym, który nazywał się „Bar-bar” dla upamiętnienia najbardziej udanej gry słów, jaką jego głupi właściciel był w stanie wymyślić. Jedzenie nie było tam nadzwyczajne, ale sam Adam był człowiekiem miłym, tak miłym, że czasami, kiedy wyszło mu danie nieszczególnie udane, sam je zanosił do stolika i przepraszał. Właśnie w

trakcie takich przeprosin spotkał swoje szczęście, a przynajmniej szansę na szczęście, w postaci dziewczyny tak uroczej, że w celu oszczędzenia mu złego samopoczucia próbowała do końca zjeść rostbef, który jej przygotował. Ta dziewczyna nie chciała mu powiedzieć, jak ma na imię ani dać numeru telefonu, ale była wystarczająco miłutka, żeby zgodzić się na spotkanie następnego dnia o piątej w umówionym miejscu. W „Delfinarium”, żeby być bardziej dokładnym.

Adam cierpiał na chorobę, przez którą przegapił już w życiu sporo spraw. Nie była z rodzaju chorób wywołujących rozrost polipów, czy coś takiego, ale jednak wyrządziła Adamowi bardzo dużo szkód. Ta choroba sprawiała, że spał zawsze dziesięć minut za długo i żaden budzik nie mógł dać jej rady. Przez nią spóźniał się zawsze do pracy w „Bar-barze” – przez nią i przez naszego kierowcę, który zawsze przedkładał dobro społeczne nad pozytywne wzmocnienie na szczeblu jednostki. Tylko że tym razem, ponieważ szło o szczęście, Adam postanowił przewyciężyć chorobę i zamiast położyć się po południu spać – pozostać przytomnym i oglądać telewizję. Dla większego bezpieczeństwa nastawił sobie nawet nie jeden budzik, ale trzy i zamówił budzenie telefoniczne. Ale ta choroba była nieuleczalna i Adam zasnął jak niemowlę przy programie dla dzieci i obudził się cały spocony pośród dzikiego wrzasku budzików dziesięć minut za późno. Wyszedł na ulicę w tym, w czym spał i zaczął biec w stronę przystanku. Nie pamiętał już, jak się biega, nogi plątały mu się za każdym razem, kiedy odrywał je od chodnika. Ostatni raz w życiu biegał, zanim odkrył, że można uciec z lekcji gimnastyki, czyli gdzieś w okolicach szóstej klasy, tyle że w przeciwieństwie do tamtych lekcji, teraz biegł wyężdżając wszystkie siły, tym razem bowiem miał co stracić, a wszelkie bóle w piersiach i świsty „popularnych” były dla niego niczym w tej pogoni za szczęściem. Właściwie wszystko było dla niego niczym, oprócz naszego kierowcy, który akurat zamykał drzwi i ruszał z przystanku. Kierowca widział Adama w lusterku, ale, jak już powiedzieliśmy, miał swoją ideologię, logiczną ideologię, która przede wszystkim opierała się na żądzy sprawiedliwości i prostym rachunku. Tylko że Adama te rachunki nic nie obchodziły, pierwszy raz w swoim życiu chciał naprawdę być punktualny i dlatego nadal ścigał autobus, nawet jeśli nie miał szans. Nagle los postanowił mu pomóc, choć tylko połowicznie, sto metrów za przystankiem były bowiem światła i na chwilę przed tym, zanim autobus do nich dotarł, zmieniły się na czerwone. Adamowi udało się dogonić autobus i dowiec do drzwi kierowcy. Nawet nie zastukał w szybę, nie miał siły, patrzył tylko na kierowcę wilgotnymi oczyma i osunął się na kolana, zasapany i bez tchu. To przypomniało coś kierowcy, coś z dawnych

czasów, z czasów zanim jeszcze chciał być kierowcą autobusu, kiedy jeszcze chciał być Panem Bogiem. To wspomnienie było trochę smutne, bo w końcu nie został Panem Bogiem, ale też wesołe, bo został kierowcą autobusu, a to była druga rzecz, której najbardziej pragnął. I nagle kierowca wspomniał, jak kiedyś sobie obiecał, że jeśli w końcu będzie Panem Bogiem, będzie litościwy i miłosierny i wysłucha każde ze swoich stworzeń, i kiedy zobaczył z wysokości swojego siedzenia kierowcy Adama powalonego na kolana na asfalcie, po prostu nie mógł dłużej i pomimo całej ideologii prostych rachunków otworzył mu drzwi. A Adam wszedł i nawet nie powiedział dziękuję, bo brakowało mu powietrza.

Lekturę tego opowiadania najlepiej by było skończyć w tym miejscu, bo chociaż Adam dotarł na czas do „Delfinarium”, szczęście w końcu nie mogło przybyć, tak w ogóle bowiem miało chłopaka. I tylko dlatego, że była taka miła, nieprzyjemnie jej było poinformować o tym Adama i wołała go wystawić do wiatru. Adam czekał na umówionej ławce prawie dwie godziny. Kiedy tak siedział, myślał sobie różne paskudne rzeczy o życiu, a potem patrzył jeszcze na zachód słońca, stosunkowo udany, i przypomniały mu się skurcze mięśni, których na pewno zaraz dostanie. W drodze powrotnej, kiedy bardzo już chciał być w domu, zobaczył z daleka swój autobus zatrzymujący się na przystanku i wypuszczający pasażerów, ale wiedział, że nawet gdyby miał siłę i ochotę pobiec, w życiu go nie dogoni. Szedł więc dalej powoli, przy każdym kroku czując milion zmęczonych mięśni, i kiedy w końcu dotarł do przystanku, spostrzegł, że autobus ciągle tam jest i czeka na niego. A kierowca, pomimo gniewnych pomruków i natarczywych nagabywań pasażerów, zaczekał aż Adam wejdzie i nie dotknął pedału gazu, dopóki ten nie znalazł miejsca siedzącego. I kiedy ruszyli, mrugnął do niego smutno w lusterku, co pozwoliło obrócić całą tę historię w coś niemal znośnego.

ASTMA

Kiedy masz atak astmy, brak ci oddechu. Kiedy brak oddechu, trudno mówić. Twoje zdanie składa się z ilości powietrza, które możesz wypuścić z płuc. Nie ma tego dużo, jakieś trzy do sześciu słów. Nabierasz szacunku do słowa. Mijasz sterty słów, które przychodzą ci do głowy. Wybierasz najważniejsze. I one też cię kosztują. Nie tak jak ludzi zdrowych, którzy wypowiadają wszystkie słowa gromadzące im się w głowie jak śmiecie. Kiedy ktoś w czasie ataku mówi „Kocham cię” czy „Strasznie cię kocham” – jest różnica. Różnica słowa. Słowo to wiele, bo tym słowem może być: „usiąść”, „inhalator” albo nawet „karetka”.

POSŁOWIE

Niedrukowane w tym tomiku opowiadanie Etgar a Kereta pt. „Rabin umarł” traktuje o śmierci przejechanego przez motocykl kota imieniem Rabin. W Izraelu, będącym ciągle jeszcze w stanie szoku po zamordowaniu premiera, Icchaka Rabina, takie skwitowanie najbardziej bulwersującego w historii kraju wydarzenia wywołało zrozumiałe oburzenie, jednak, paradoksalnie, programowy infantylizm tego opowiadania łatwiej przebił się do wrażliwości młodych czytelników niż niezamierzony infantylizm oficjalnej pompy żałobnych akademii.

Etgar Keret zadebiutował w wieku dwudziestu pięciu lat tomikiem „Rury” i dość szybko zdobył sobie rzeszę młodych wielbicieli. Starsi w osłupieniu dyskutowali o odhumanizowaniu młodej prozy, a młodzi rozchwytywali coraz wyższe nakłady kolejnych tomików. Krytycy i pisarze ubolewali nad zubożeniem języka i upadkiem syjonistycznych ideałów, a młodzież zaśmiewała się przed telewizorami z satyrycznych programów „Kwintetu kameralnego”, do których teksty pisał nowy idol.

Dla wyjaśnienia fenomenu tej popularności nie wystarczy powiedzieć, że młody człowiek pisze dla swoich rówieśników o codziennych sprawach, najzwyczajszym i zupełnie nieliterackim językiem. Trzeba również uprzytomnić sobie, jak ważkie zadania stały od jakichś dwóch tysięcy lat przed hebrajską literaturą, która obok religii, była poważnym czynnikiem podtrzymującym tożsamość rozproszonego w diasporze narodu, a później jak dalece literatura była zaangażowana w ideologię syjonistyczną i w ideę budowy żydowskiego państwa. Nie znaczy to, że przez ostatnich kilkadziesiąt lat życie literackie Izraela obracało się tylko wokół ideologii, Keret jest jednak jednym z pierwszych, który tak radykalnie językiem literatury uczynił język potoczny, sposób literackiego obrazowania zaczerpnął z wideoklipu i filmu animowanego, a za punkt wyjścia swoich króciutkich, groteskowych i surrealistycznych opowiadań wziął najprostsze scenki z codziennego życia.

Początki jego pisania były, jak sam opowiada, autoterapeutyczne. Pierwszym impulsem stało się samobójstwo kolegi z wojska. Następne opowiadania pisał również wyłącznie dla siebie, A kiedy postanowił sprawdzić, czy to co pisze, mogłoby jeszcze kogoś zainteresować i dał je do przeczytania kilku kolegom – dowiedział się, że nie, kolegów to nie interesuje. I być może ten młody (rocznik 67) ojciec literatury hebrajskiej

ostatnich lat w ogóle by się nie narodził, gdyby nie konieczność usprawiedliwienia czymś ciągłych nieobecności na porannych zajęciach uniwersyteckich. Opiekun doradził mu wysłanie kilku opowiadań jakiemuś profesorowi literatury z prośbą o opinię. Profesor – wiadomo – nic złego w takiej sytuacji nie napisze, użyje co najwyżej kilku mądrych słów, jak postmodernizm itp., i będzie w dossier papier, który na władzach uczelni zrobi dobre wrażenie. Kariera studencka Kereta została w ten sposób uratowana, a profesor uratował przy okazji honor izraelskiego literaturoznawstwa i doprowadził do wydania pierwszego tomiku. A takie do powstania nowej szkoły pisarzy hebrajskich, Keret ma już bowiem licznych naśladowców.

Agnieszka Maciejowska